Nr. 35. Warszawa, dnia 21 Sierpnia (2 Września) 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

Firma Mercier i Spółka.

Wyrok sądu kasacyjnego, ogłoszony d. 3 czerwca r. b., nakazujący ponowne osądzenie sprawy Dreyfusa, pomiędzy innymi punktami uzasadniającymi zniesienie wyroku z d. 22 grudnia 1894 r. pomieścił następujące: 1) Dowód *Ce canaille de D.*, według Casimir-Periera przedstawiony sądowi wojennemu w r. 1894, pisany był na papierze najpodobniejszym do użytego pod list Esterhazego z d. 17 sierpnia 1894 r. 2) Dowód zwany *bordereau*, zdaniem trzech profesorów Ecole des Chartes i biegłego Charavaya, pisany był tą samą ręką, co list powyższy oraz list z d. 17 kwietnia 1894 r. 3) Wyznanie winy przez Dreyfusa w d. 5 stycznia 1895 r. przed kapitanem Lebrun-Rénaultem, wobec niestałości świadczeń tegoż kapitana niema mowy. Te trzy punkty dały oparcie wyrokowi rewizyjnemu, nie krępując wszakże sędziów w Rennes przy wydawaniu wyroku merytorycznego.

Pierwszym obowiązkiem tego sądu było przekonanie się: czy oba powyższe dowody oraz wszelkie inne, które na wyrok z d. 22 grudnia domniemalnie wpłynąć mogły, a występują w aktach sprawy, były przedstawione sądowi ówczesnemu, równolegle zas i samej stronie, jak tego wymagają przepisy prawa? Może być, że sąd obowiązek ten spełnił podczas owych czterech dni tajemnych, w pierwszym tygodniu swej działalności: ale postępowanie jawne dotychczas spełnienia tego bynajmniej nie stwierdziło. Natomiast z badania świadków, przeprowadzonego w d. 26 z. m., wypływa pewność, że generał Mercier zmówił się z pułkownikiem Maurelem, prezesem sądu z r. 1894, aby zgodnie przeczyć, jakoby w tajnem *dossier*, przedstawionym sędziom Dreyfusa, znajdowały się dowody wyszczególnione obok *bordereau*, jako współobciążające.

Badanie kapitana Freystättera, członka sądu wojennego z r. 1894, przeprowadzone współcześnie z wydobywaniem prawdy z gen. Merciera i pułkownika Maurela, przekonać musiało każdego, kto uważnie sprawozdanie z posiedzenia w d. 26 z. m. przeczytał, że: 1) obaj ci panowie wypierają się przedstawienia sądowi wrzekomego telegramu obcego *attache*, mówiącego wprost o winie Dreyfusa, a jawnie sfałszowanego; 2) osłaniając się z jednej strony, obnażają się sromotnie z drugiej: Mercier, minister wojny, „nie wie,“ co posyła dla potępienia człowieka, oddanego pod sąd tajemny; Maurel jest „znużonym,“ „nie czyta,“ „czyta tylko jeden dokument,“ „słucha nieuważnie, ponieważ dokumenty nie były interesującymi“ — dokumenty jedyne po za *bordereau*, jakich użyć było można do skazania obwinionego!

To wyznanie, żadnej wątpliwości nieulegające, że dokumenty takiej siły nie wydały się prezesowi sądu „dość interesującymi,“ choć zaraz po odczytaniu trzy z nich: *Ce canaille*, telegram i list z Avignonu wydały się sądowi całemu dość ważnemi, aby na nich można było oprzeć wyrok — wyznanie to przyłożyło ostatnią pieczęć na dotychczasowe domniemanie istnienia zmowy na ukrycie prawdy, które w najchłodniejszych nawet wzniecić musiało odmówienie przez Merciera i Boisdeffre'a sądowi kasacyjnemu wszelkich odpowiedzi na pytanie: czy *Ce canaille* znajdowało się w *dossier*? Oczywiście, było w nim wraz ze wszystkimi innemi, ale ponieważ te wszystkie inne wraz z niem samem są sfałszowane tak oczywiście, iż przeczyć fałszom niepodobna — generałowie przeto wraz z pułkownikiem Maurelem odziewają się w milczenie. Czyż z faktu stwierdzonego kłamstwa nie wolno wysnuwać domysłów, rozszerzających zmowę w pojęcie jurydycznej bandy, która miała rozmaite wspólne interesy i zanieczyszczała niemi lata całe sztab generalny? W samym wydziale wywiadowczym działy się nadużycia krzyczące. Zniesienie służby szpiegowskiej w ministeryum wojny jest ich niezbitym dowodem. Nic też nie zdoła wzruszyć faktu, że rewizya była koniecznością nieuchronną, niezależną od winy Dreyfusa co do autorstwa *bordereau*, a potrzebną dla stwierdzenia całego łańcucha win sztabu generalnego. Odmówić rewizyi mogła tylko głupota, sprzymierzona z nieuczciwością.

Tydzień polityczny. W Rennes badania obracają się około dwu wątpliwości: kto pisał *bordereau*, i czy nie podrabiał cudzego pisma? Podejrzenie pada na Dreyfusa lub Esterhazego; nasuwa się i Henry. Przesłuchano kaligrafów, profesorów paleografii, członków Instytutu francuskiego: dowód dla sądu z r. 1894 nie przestaje być podejrzeniem dla świata z r. 1899. Stawali w sądzie gen. Mercier, Roget, pułkow. Maurel, Freystatter: wezwano i Freycineta. Picot, akademik, opowiedział rozmowę swoją ze Schneiderem, *attache* austryackim. D. 31 b. m. miano odbyć posiedzenie tajemne. Do „chorego“ Paty de Clama posłał sąd delegowanego; według *Matin* treść zeznań ma być tak wybuchającą, że dziennik tykać się jej nie waży.

Sąd na Derouled'a i towarzyszów będzie w przyszłym tygodniu zwołany. Guerin jeszcze się opiera. Rząd brnie coraz głębiej w metodę ogłodzenia. Wytoczono sprawę *Eclair*owi, który ogłosił był w r. 1896 sfałszowane *Ce*

canaille. U uwięzionych antisemitów znaleziono ważne dowody.

Niemcy w Styryi i Czechach śpiewają *Wacht am Rhein* i *Deutschland über Alles*—z coraz większą namiętnością. Zaburzenia dawniejsze w Cyloi, w Salzburgu, w Reichenbergu, w Egerze, wreszcie największe w Kreślicach czeskich, gdzie pięciu burzycieli powaliły kule żołnierzy, powtarzają się na rozmaitych punktach. Cesarz zaprosił na obiad Chlumeckiego, aby zapewnić wybór do delegacyi. W przejeździe przez Pragę na manewra wojskowe d. 30 z. m. Czesi go rąco go przyjmowali.— Szell usuwa się, Aponyi ma stanąć na czele gabinetu węgierskiego.

Wojna z Transwalem blizka. Chamberlain huczał znowu na jakimś bankiecie.

Cesarz Wilhelm utrzymuje nadal dotychczasowych swych ministrów. Sejm zamknięty.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYJAŚNIENIE.

Bank włościański, jak wiadomo, rozpoczął swoją działalność najpierw w Cesarstwie i następnie przeszedł do nas z gotowymi przepisami, które nie odpowiadały ani ustrojowi społecznemu, ani położeniu ekonomicznemu naszego ludu. Ustawa jego nie była również w zupełnej zgodzie z potrzebami włościan w Cesarstwie, skoro musiano je reformować.

Co do naszych stosunków, wielką niedogodnością były warunki pożyczek. Jedna rodzina nie mogła otrzymać więcej, niż 500 rb. Ponieważ u nas cena ziemi jest znacznie wyższa, niżeli w Cesarstwie, więc oczywiście chłop nie mógł marzyć o kupnie za 500 rb. gruntu w ilości dostatecznej dla jego potrzeb. Weźmy dla przykładu kilka cyfr. Cena ziemi w gub. Kaliskiej wynosi 60 rb. za morgę, w Lubelskiej 64, Warszawskiej 70, Kieleckiej 84. Wogóle zaś w Królestwie Polskiem przeciętna cena ziemi jest 62 rb. za morgę, gdy tymczasem w Cesarstwie tylko 21,8, a w guberniach litewskich 20,9 rb.

Kupno pociąga za sobą mnóstwo formalności i kosztów: potrzeba daną przestrzeń wydzielić z księgi hypotecznej dóbr, uwolnić ją od odpowiedzialności za pożyczkę Towarzystwa kredytowego ziemskiego, oraz pozbyć się innych wierzytelności. Stąd rosły koszty mierniczo, hypoteczne i notaryalne tak duże, że poprostu kupno ziemi nie opłacało się wcale. Nie dość tego: powszechnie u nas przyjęto w praktyce warunek, że nie można we wspólnej księdze hypotecznej pomieścić kilku osad, bez względu na to, że pochodzą one z parcelacyi jednych dóbr. Każdy więc nabywca oddzielny musiał zaprowadzić osobną księgę hypoteczną. Jeżeli zaś kilka osad miało figurować w jednej, natenczas władze Banku żądały, ażeby właściciele stworzyli towarzystwo, solidarnie odpowiedzialne przed instytucyą kredytową. To jest właśnie jeden z zasadniczych warunków, niezgodnych z potrzebami i wymaganiami miejscowemi.

A jednak pozornie przez pewien czas życie się naginało do przepisów. Zajrzyjmy do faktów (nagromadzonych w dziełach p. Blocha): Z wykazów dwu kategoryj: 1) pożyczki udzielane spółkom włościańskim (gromadom) i 2) włościanom pojedynczym, widzimy znaczną różnicę w liczbach pożyczek obu tych kategoryj. Włościanie pojedynczy prawie wcale nie korzystali z kredytu bankowego. Z ogólnej liczby 367 tranzakcyj 354, czyli 97%, przypada na pożyczki zaciągane zbiorowo, a tylko 13, tj. 3%, na pojedyncze. Ponieważ spółki reprezentują 6,990 gospodarzy, pojedynczo zaś nabyło ziemię zaledwie 13, więc z pomocy Banku w spółkach korzystało 99,82%, pojedynczo 0,18%, czyli prawie zero. Ten sam stosunek widzimy w ilości gruntów: spółki nabyły 99,75% ogółu kupionej ziemi, jednostki — 0,25%.

P. Bloch wyjaśnia w następujący sposób to zjawisko: Ponieważ spółka włościan, łączących się w celu nabycia ziemi przy pomocy kredytu bankowego osobnym aktem zobowiązuje się do solidarnej odpowiedzialności, więc oczywiście daje ona dla Banku pewniejszą rękojmię, niż jednostka, a przytem unika się kłopotu traktowania z kilku ludźmi, zamiast jednym. „Włościanin nasz z obyczajów i upodobania jest wielkim indywidualistą, akcya zbiorowa pociąga za sobą zwykle nieporozumienia, wymaga ustępstw wzajemnych, przy których każdy się uważa za pokrzywdzonego. Do stowarzyszania się zmusza go konieczność finansowa, potrzeba utworzenia siłami zbiorowemi odpowiedniego kapitału; w danym jednak wypadku ten wzgląd, wskutek pomocy i pośrednictwa Banku mógłby być usunięty." Czy w tym razie charakter kredytu zmusza do udzielania w Królestwie Polskiem pożyczek niemal wyłącznie spółkom? — Jest to bardzo wątpliwe, skoro w Cesarstwie, gdzie włościanin, wskutek istnienia w wielu guberniach wspólnego władania ziemią, bardziej aniżeli u nas jest usposobiony i uzdolniony do tworzenia takich spółek — praktyka wykazuje zupełnie inne cyfry: Na ogólną liczbę 11,017 pożyczek, 2,279, tj. przeszło 20% zaciągnęły jednostki. W guberniach litewskich (Grodzieńskiej, Kowieńskiej i Wileńskiej), w których warunki gospodarcze i społeczne bardziej (zdaniem p. Blocha) do naszych są zbliżone, na ogólną sumę 1,169 pożyczek, w 671 wypadkach (57%) włościanie korzystali z kredytu pojedynczo. Wobec tych faktów p. Bloch przychodzi do przekonania, że zaznaczony powyżej charakter działalności Banku jest wynikiem jego własnej tendencyi.

Do tej tendencyi ogół nabywców musiał forsownie się przystosować: stworzył spółki nabywcze, ale w jaki sposób? Fikcyjnie! Oto co w tej sprawie pisze *Wiek*: „Wypadki kupna ziemi przez zwartą gromadę, któraby kupiła pewną przestrzeń w całości i później pomiędzy swych członków według własnego uznania rozdzieliła, należą do wyjątków. Zwykle nabywcy kupują poszczególne działki, a towarzystwo tworzy.

Włodzimierz Bugiel.

DWIE ŚMIERCI.

OPOWIADANIE LETNIE.

(Dokończenie).

Lato w tym roku zaczęło się wcześnie. Już w połowie czerwca wiśnie pokryły się rubinami dojrzałych owoców, zboże na polach wypędziło wysoko i rącz jął nalewać się kłos. Chmury prawie nie plamiły nieba, tylko nocami spadał deszcz.

Jezioro, na którem przemieszkiwał łabędź, podobne było obecnie do ogromnej czary, napełnionej roztopionem srebrem. Brzeżył ją wieniec wspaniałej zieleni, niebotycznych drzew, gęstych krzewów, kwitnących trzcin i trzepocącego się za lada podmuchem tataraku.

Zaś nad płaszczyzną wodną bujał aromat powietrza leśnego, a z wysepki, okrytej tymiankiem, macierzanką i złocistem świętojańskiem zielem, leciały w przestrzeń silne, rozkoszne zapachy.

Panem tej wody i tej kotliny był zawsze biały łabędź. Bo czy mogły równać się z nim pod względem praw swych do nich motyle, co tam spały na kwiatach, albo turkawki gnieżdżące się w nadbrzeżnych drzewach?

Dumny i spokojny opływał brzegi, łowiąc ryby i wodne owady, przecinał szybę jeziora, wylądowywał na wyspie, spał w słońcu lub wracał w zarośla parku.

Lecz starzec nie wychodził już do niego w tym roku.

Ubiegła zima srodze zapisała się w pamięci dawnego wojaka. Jak nietoperze nocą ze wszystkich schowków dzwonicy, tak ze wszystkich skrytek jego ciała poczęły wysuwać się dolegliwości. Strzykało go w krzyżu, łamało w nogach, kurczyło mu dłonie i jak kleszczami ściskało mu głowę. Biedny leżał na tapczanie bez sił, w bólach. Dawnym zwyczajem wziął był na zimę do swej izby łabędzia i byliby obaj z głodu zmarli, gdyby nie młoda dziewczynka z sąsiedztwa, czternastoletnia Kasia. Wypiastował ją starzec na swem ręku, gościńców dużo naprzywoził z miasta, gdy podrastała, podlotkowi sprawił gorsecik, chustę piękną i koraliki. Dziewczę przylgnęło do staruszka, jak do swego ojca.

— A co tam dziaduniu — pytała codzień wsuwając ładniutką główkę przez drzwi — jak wam dzisiaj?

— Złe moje dziecko — szeptał wojak.

Ona, zamiast odpowiedzi, wyjmowała z pod fartuszka garczek z jadłem, karmiła starca i ptaka, przynosiła co im było potrzebne, spełniała zlecenia i odbiegała spokojna o całą ich dobę.

Czasem starzec wstawał na nogi, a wtedy pomagała mu krzątać się. I zawsze, gdy odchodziła, szły wślad za nią błogosławieństwa srebrnowłosego.

Wiosną ulżyło mu nieco. Odprowadził łabędzia na jezioro i ostatni raz już go widział. Ptak na noc albo w słotę krył się w budce, którą miał na wysepce. W parę dni po powrocie miał, jak zawsze co roku, odwiedziny przelatującego z południa stada łabędzi. Z gwarem i hałasem spadły na wodę, wdzięcząc się do starca, opływając go, zakładając swoje szyjki za jego szyję. Fale pieniły się od radosnego bicia ich skrzydeł, a stary łabędź radośnie, ale poważnie przyjmował te oznaki czci i wesela. Rzekłbyś wódz sędziwy, którego odwiedził w pustelni orszak młodych rycerzy.

Po kilku godzinach szare dzikie łabędzie wiodąc z sobą, jak często im zdarza się, parę białych swojskich, które zakochały się w swobodzie, odleciały z jeziora i odtąd cisza siadła znów nad kotliną. Cisza? Nie, bo nocą śpiewały tu słowiki w zaroślach, a we dnie ptactwo gwizdało wiosenne hymny. Ale głośno echa nie obiły się ani razu o rosłe drzewa.

się *post factum*, jedynie dla formy i z konieczności, wbrew odczuwanej niechęci do odpowiedzialności solidarnej. Ta sztuczność towarzystw zwróciła w krótkim czasie uwagę odpowiednich władz, wyraziła się zaś naprzód w tak zwanych przez włościan „podstawcach.“ Ponieważ za sumę pożyczki, udzielanej przez Bank, niemożebnem było nabycie przestrzeni dostatecznej do zatrudnienia i wyżywienia rodziny, przeto nabywcy obchodzili tę trudność, stawiając fikcyjnych członków towarzystwa, krewnych, znajomych lub przyjaciół. Taki podstawca w rzeczywistości nie miał nic wspólnego z towarzystwem: udzielał on tylko swego nazwiska jednemu z przyjaciół, który na cudze imię nabywał po dwie, trzy, a nawet cztery działki gruntu, otrzymywał niekiedy do 2,000 rb. pożyczki i wytwarzał w ten sposób wygodną osadę. Wyraźny przepis, że za dług bankowy każdy nabywca odpowiada jedynie gruntem, przy pomocy Banku kupionym i że egzekucya z tego tytułu nie może być zwrócona do jego poprzedniej osady, zabezpieczał podstawcę od wszelkiego ryzyka.

Ponieważ po zatwierdzeniu i wypłacie pożyczki bankowej podstawcy zaraz zaczęli ustępować z towarzystwa i przelewali swoje prawa na rzeczywistych nabywców, więc władze Banku zrozumiały tę całą operacyę i musiały ją tolerować. Ostatnia reforma Banku włościańskiego uczyniła skalę pożyczek zależną prawie wyłącznie od miejscowych warunków stworzenia racyonalnej osady włościańskiej. A więc w takim razie „podstawcy“ są zbyteczni. Pomimo to wytworzone sztucznie towarzystwa z solidarną odpowiedzialnością istnieją w dalszym ciągu i wcale nie prowadzą do celu pożądanego, tj. do wzmocnienia podstaw bytu włościan przez rozszerzenie ich własności i tem samem ułatwienie gospodarki racyonalnej. Gospodarze zamożni nie chcą wcale brać udziału w tych towarzystwach nabywczych, bojąc się niewygodnej dla siebie odpowiedzialności solidarnej. Biorą się tedy do zbiorowego kupna ludzie ubodzy, bez żadnych środków i skutkiem tego zamiast naprawić swój byt, obarczają się jeszcze bardziej ciężkimi warunkami, często wpadają w położenie bez wyjścia. Mają wprawdzie pola, ale nie mają środków na ich uprawę i zabudowania. Jeżeli zaś w tej gromadzie nabywców znajdą się ludzie trochę zamożniejsi, nie spieszą oni wcale ze spłatą pożyczek przed terminem, gdyż spłata taka nie uwalnia ich wcale od wzajemnej poręki za sąsiadów, albo też od skutków egzekucyi w razie niedokładności innych dłużników Banku.

Otóż z tych wszystkich względów władze instytucyi kredytowej włościańskiej przyszły do przeświadczenia, że niezależnie od towarzystw z solidarną odpowiedzialnością trzeba uprzystępnić kredyt dla nabywców pojedynczych, bez wzajemnej poręki, zwłaszcza, że takie ułatwienie nie przekracza bynajmniej ustawy zreformowanej. Postanowiono to mianowicie uczynić za pomocą odpowiedniego wyjaśnienia interesowanym. W tym celu ks. Lieven, zarządzający Bankiem włościańskim, dał już oddziałom odpowiednie wskazówki. Jednocześnie, jak donosi *Wiek*, wyjaśniono, iż wcale nie jest wymaganem, ażeby każda osada, oddzielona od dóbr, miała koniecznie posiadać osobną księgę hypoteczną, lecz że dla zmniejszenia kosztów nawet kilkanaście osad może się mieścić w jednej księdze. Pożyczki, w razie uznanej potrzeby, mogą wynosić 1,000—2,000 rubli, w szczególnych zaś wypadkach nawet więcej.

Takie udogodnienia, które przyznano dopiero za pomocą wyjaśnień, mogą mieć doniosłe znaczenie ekonomiczne i wpłyną na lepsze ukształtowanie stosunków włościańskich.

Teraz jeszcze pożądane byłoby, również za pomocą wyjaśnień, usunięcie zbytecznej formalistyki, która utrudnia zaciąganie pożyczek i zarazem parcelacyę majątków. Formalności te bowiem są uciążliwe nietylko dla włościan, lecz i dla większych właścicieli ziemskich. Tak np. sprzedawca, korzystający z pośrednictwa Banku włościańskiego, musi się załatwić aż z trzema stronami: włościaninem lub całą ich gromadą, wierzycielami i Bankiem. Na to zjawisko zwrócił uwagę p. Józef Jezierański przed paru laty w sekcyi rolnej, a następnie w osobnej pracy („Kolonizacya i parcelacya.“ Warszawa 1894). Autor stwierdza tę smutną okoliczność, że sprzedawca, upadający pod ciężarem interesów, w żaden sposób nie może zaspokoić wszystkich stron. Włościanie bowiem za lada zaliczeniem pragną jak najprędzej objąć grunt w posiadanie; wierzyciele przez czas przejściowy żądają procentu, którego niema skąd czerpać; Bank żąda pomiarów, planów i dokumentów. „Chcącemu zaspokoić jedną ze stron, wysycha źródło dla uczynienia zadość drugiej. Lecz co najgłówniejsza — sprzedawca aż do ostatecznej chwili ze wszystkiemi umowami swemi wisi na włosku, nie mogąc wiedzieć, za jaką cenę sprzedał dobra, gdyż bardzo często szacunek, o jaki się umawiał z włościanami, doznaje znacznego we władzach Banku uszczuplenia.“

Pewne ułatwienia i uproszczenia w tej mierze byłyby bardzo pożądane.

Co do towarzystw, nabywających zbiorowo ziemię, musimy się zastrzedz, że wszelkie spółki uważamy za pożyteczne tylko wtedy, gdy stoją na właściwym gruncie i prowadzą istotnie do rozwoju ekonomicznego i społecznego.

LISTY PETERSBURSKIE.

Rosya na terytoryach chińskich. — Znaczenie i rola kolei Syberyjskiej w międzynarodowej polityce ekonomicznej. — Zwiększenie sprawności przewozowej. — Szkoły na Syberyi. — Emancypacya szkół prywatnych. — Przywileje dla szlachty. — Ogólne warunki wychowania.

Najwyższy ukaz Imienny do ministra skarbu wywołał silne wrażenie nietylko w obrębie państwa rosyjskiego, lecz i za granicą, szczególnie

---

Pewnego goręcszego dnia stary żołnierz, wytężając resztki sił, pracował w ogrodzie. Słońce grzało mocno, lecz on był potroszę osłonięty cieniem. Naraz po kilku godzinach pracy uczuł wielkie zmęczenie. Nie dokuczał mu żaden ból, nie mógł jednak utrzymać się na nogach. Położył się na chwilę w trawie, potem wytchnąwszy, zawlókł się do mieszkania.

Legł na tapczanie zwrócony do okna i odtąd nie wiedział, co dzieje się wkoło. Żadnego cierpienia, ale nogi ciężyły jak żelazne, rąk nie mógł podnieść, głowy obrócić. Otworzyć powieki opadające na oczy było mu teraz ciężej, niż kiedyś dźwignąć dwie wielkie skrzynie.

Nie otwierał też ich prawie. A jednak *widział* ciągle.

Chwilami zdawało mu się, że walczy. Jego legion uderza na Hiszpanów i pod impetem nacierających łamią się szeregi. Potem był w Saragosie. Stało ich kilkunastu w piekle płomieni, co chwila słychać było gromy armat, bomby pękały, z okien leciał trzask fuzyj i grad kul. Oni szli ze swym kapitanem, jak spokojną drogą, kapitan dowcipkował. Osaczyli jeden z broniących się domów i znowu w bój ramię o ramię — nic nie mogło im ostać się.

Wbiegali na schody, zabierali pokój po pokoju. Czuł wtedy woń prochu około siebie i w uszach huk. To milkło i zjawiały się kobiety, które w życiu poznał, rodzice wracający z pola. Widział siebie dzieckiem, które matka usypiała pieśnią i znów starcem grzebiącym pana. Burza widzeń, uczuć i obrazów tańczyła przed nim, wreszcie wszystko zaczęło mieszać się, ciemnieć i — zgasło.

Noc zapadła nad nim i noc nad ziemią wnet objęła rządy. Ale ta była w szacie wysrebrzanej, jasna, pogodna, pełna świateł i śpiewów. Księżyc w pełni zalewał promieniami drogi, lasy i domostwa, wysyłał na zwiady promyki w najgęstsze krzaki, osrebrzał liście, szyby i skrzydła ptasząt budzących się w blasku. Wołał zakochanych w pola, zsyłał pieśni w gardła słowików i tęskność ciskał w piersi wszystkim, co umieją marzyć.

Tak błyszczał całą noc i szły ku niemu westchnienia, śpiewy i opary wstające z wód i łęgów.

Naraz starzec znów zbudził się. Posłyszał jakby dziwne granie. Zdawało się z początku, że to dzwonią jakieś srebrne dzwoneczki, cicho, ale melodyjne i tak smętne, że serce na ich odgłos wzbierało jak wzburzona fala, napełniało całą pierś, biło z szaloną siłą o swą klatkę i chciało z niej wylecieć, daleko, wysoko, w bezmiary. Potem ich głos potężniał i był jak skarga ludzi dojrzałych. Lecz wnet zapłakały znowu jak żałące się dzieci pieniem cienkiem, rozpływającem się niby pajęczyna w powietrzu.

Nareszcie rozległ się donośny jęk i jak zerwana arfa śpiew umilkł.

To łabędź tejże nocy konał nad jeziorem.

Jego przedśmiertne harmonijne jęki wydały się starcowi w malignie czarodziejską muzyką. Otworzył szeroko oczy i uczuł błogość. Co to było? Czy anieli grali? Czy panienka wróciła z grobu, by osłodzić mu ostatnie chwile?

Księżyc zaglądał do chaty. Choremu wróciło trochę sił. Sądził, że jutro wstanie znów do pracy, spróbował podnieść nogę, wydała mu się lekką jak piórko. Potem zdało mu się, że do izby weszli z promieniami księżyca jego drodzy. Zerwał się do nich, wyciągnął ręce i—opadł na tapczan...

* *
*

Jutrzenka wybiegła, sypiąc róże na blade niebo, a wyprzedzająca dzień światłość rozlała się w przestrzeni. Kwiaty, trawy i drzewa okryła rosa, ptactwo zbudziło się. Hymn życia zabrzmiał z przestrzeni parku.

Tylko we dwodrze na tapczanie leżał starzec z żółkniejącą twarzą, a w głębi parku przy wysepce bielało ciało łabędzia. Po chwili błysły na niem złote iskry promieni słonecznych.

zaś w Anglii. Istotnie utrwalenie ekonomicznego i politycznego stanowiska Rosyi w portach Da-lań-Wań i Artur wraz z przyległającem terytoryum, budowanie nowego miasta rosyjskiego, Dalnij, na ziemi chińskiej i przedłużenie do tego ogniska kolei Trans-syberyjskiej, to fakt doniosły, który może bardzo zaważyć na szale polityki ekonomicznej świata. *Times*, który wieść o nim rozniósł po świecie prędzej, niż wiele pism rosyjskich, nazywa ten akt wielce ważnym tryumfem dla polityki ministra Wittego. Pismo to całkiem słusznie utrzymuje, że kolej Syberyjska od chwili otwarcia wymaga olbrzymiego ruchu handlowego, ale może go rozwinąć dopiero wtedy, gdy wszystkie porty, które połączy, staną otworem dla handlu międzynarodowego.

Jakoż Najwyższy ukaz otwiera port Dalań-Wań dla flot handlowych wszystkich narodów. Nadto nowemu miastu, na zasadzie ugody z d. 27 marca r. 1898 nadaje prawo wolnego handlu. Pobór ceł miał być tam dokonywany wyłącznie przez urzędników rosyjskich. Warunek ten jednak zmieniono. Okręty zagraniczne mogą bez opłaty cła przywozić i wywozić wszelkie towary do miasta portu oraz całego okręgu, oddanego gospodarce rosyjskiej. Tak więc Rosya otworzyła sobie olbrzymie wrota dla stosunków handlowych z całym światem, zdobyła drogą pokojową port wiecznie wolny od lodów. Tym sposobem kolej Syberyjska stała się dziś najgłówniejszą arteryą państwa. Łączy ona zachód Europy z dalekim wschodem azyatyckim.

Jakie ona ma znaczenie już dziś, pomimo iż nie jest jeszcze skończona, świadczą najświeższe fakty: Potrzeby komunikacyjne ujawniły się w tak wielkich rozmiarach, że zarząd kolei jest w prawdziwym kłopocie, nie mogąc im zadość uczynić. Stała się fatalna omyłka, że nie przewidziano tak szybkiego przebudzenia się olbrzyma. Oto kilka cyfr wymownych: Kolej Syberyjska między Czelabińskiem a Irkuckiem w r. 1896 przewiozła 344,000 podróżnych i 11½ miliona pudów towarów: w r. 1897 — pierwszych 512,000, drugich 26¼ milionów; w r. 1898 pierwszych 918,000, drugich 37 milionów. W ciągu pierwszych dwu miesięcy roku bieżącego przewieziono przeszło 14 milionów pudów towarów. Wobec tak niesłychanego wzrostu ruchu postanowiono możliwie najprędzej zmienić szyny lekkie na cięższe, ażeby mogły dłużej wytrwać w tej pracy nieustannej. Zmiana ta, jakkolwiek już jest rozpoczęta od roku przeszłego, nie da się jednak prędko uskutecznić całkowicie. Usunięcie kilku milionów pudów szyn prawie natychmiast po ich położeniu świadczy, jak dalece oceniono potrzeby istotne, skoro się zdecydowano na koszty wielomilionowe, które nie były przewidziane w budżecie. Nie dość na tem. Przedsięwzięto jeszcze inne środki zwiększenia siły przewozowej, które miejscami mają taki charakter i znaczenie, jakby kolej na nowo budowano. Tu i owdzie np. wzmacniają i rozszerzają nasypy, budują mosty żelazne, zamiast dotychczasowych chociaż drewnianych, lecz kosztownych. Oczywiście nawet przy nadludzkiem wytężeniu energii nie dadzą się powetować te straty, jakie wynikły skutkiem niemożności zadośćuczynienia obecnym potrzebom handlu i komunikacyi pasażerskiej. W każdym jednak razie miliony przeznaczone na rozszerzenie środków komunikacyjnych kolei Syberyjskiej, już w niedalekiej przyszłości nietylko pokryją się całkowicie, lecz jeszcze dadzą olbrzymie zyski. Na rozwój tudzież przyspieszenie robót i wogóle na właściwą rolę kolei Syberyjskiej poniekąd może wpłynie podróż ministra komunikacyi, ks. Chiłkowa na Syberyę. Bezpośrednim rezultatem tej podróży jest postanowienie budowy w kilku głównych ogniskach Syberyi wielkich składów do długoterminowego przechowywania zboża. Spichlerze te będą miały doniosłe znaczenie ekonomiczne, jeżeli zważymy, że obecnie kolej Syberyjska przewozi zboże w dwu kierunkach: na zachód do portu archangielskiego i na wschód do Zabajkala, a w niedalekiej przyszłości w tym samym kierunku przewozić będzie do Chin.

Udogodnienia komunikacyjne wróżą także szybki rozwój szkolnictwa fachowego na Syberyi. Już obecnie uczyniono ważny krok w tej mierze tworząc jedyny w swoim rodzaju instytut wschodni we Władywostoku. Wkrótce zaś niewątpliwie ujawni się potrzeba wielu innych zakładów naukowych, ażeby wytworzyć szeregi specyalistów dla postępowej eksploatacyi bogactw ziemnych, które dotychczas są w najpierwotniejszy sposób wydobywane i jeszcze noszą na sobie wszystkie znamienne cechy robót karnych. Inicyatywa prywatna w szkolnictwie na Syberyi może mieć doniosłe znaczenie.

Skoro mowa o szkolnictwie, nie możemy pominąć świeżego projektu — zapewnienia prywatnym zakładom naukowym większej swobody działania niż dotychczas. Zamiar ten wywołał już w prasie rosyjskiej różne wyjaśnienia i rozmyślania. Między innemi na zaznaczenie zasługują uwagi *Nowosti*: „Obecnie wszystkie szkoły prywatne — pisze ta gazeta — korzystające z tych samych praw co rządowe, muszą ściśle trzymać się programu tych ostatnich. System taki zupełnie krępuje inicyatywę prywatną w zakresie przysposobienia szkół do owocnego wypełniania zadań wychowawczych. Rzecz prosta, iż szkoła niezapewniająca przywilejów, związanych z wykształceniem, może zostać bez wychowańców. To też prawie wszystkie prywatne zakłady naukowe są obecnie wiernemi kopiami rządowych. Taki stan rzeczy nie pozwala wprowadzić gruntownych ulepszeń, posuwających szkolnictwo naprzód po drodze samodzielnej. Na przeszkodzie stoi tutaj ogólny strychulec. A jednak tylko owoce doświadczenia samodzielnego mogłyby wytworzyć dostatecznie silny grunt do pomyślnego załatwienia reformy szkół średnich, postawionej obecnie na porządku dziennym. Stanowcze znaczenie musi tu mieć próba zastosowania osobnych ustaw teoretycznych. Z tego punktu widzenia im więcej powstanie typów szkoły średniej — tem będzie lepiej. Wystarcza, ażeby każdy system odpowiadał tylko pewnemu *minimum* żądań, które powinny być postawione wychowańcom szkół średnich, zarówno pod względem sumy dostarczonych im wiadomości, jak i wykształcenia umysłu. Również należałoby radom pedagogicznym szkół rządowych nadać większą samodzielność co do wprowadzenia w kursach różnych zmian, niewychodzących po za określone granice.“

Istotnie uwagi i rady powyższe mają najzupełniejszą słuszność. Szkoły prywatne, dzięki niewolniczemu naśladownictwu rządowych, w wielu wypadkach przebierają nawet miarkę żarliwości formalistycznej, a nadto, chcąc swym wychowańcom ułatwić wstęp do zakładów rządowych, przeciążają ich pracą. Taki stan rzeczy jest tem gorszy, że szkoły prywatne posiadają dużo dzielnych sił pedagogicznych, które jednak, nagięte do rutyny, spełniają swoje zadania rzemieślniczo, z małym pożytkiem. Jeżeli zamierzona reforma przyjdzie do skutku w całej przewidywanej rozciągłości, będzie to doniosły fakt w dziejach wychowania publicznego.

Inna jeszcze kategorya wychowania zwraca obecnie uwagę powszechną. Niedawno ogłoszono w *Zbiorze praw* orzeczenie rady państwa w sprawie wychowania i kształcenia młodzieży pochodzenia szlacheckiego. Przedewszystkiem zaznaczyć winniśmy, że w sprawie powyższej przedstawiciele szlachty stworzyli dwa nierówne obozy. Do szeregów mniejszości weszli wybitni działacze społeczni, którzy mając szersze poglądy na sprawy życia, nie uznawali za stosowne odosobnionego wychowania szlachty. Dowodzili oni prywatnie i publicznie na szpaltach *Peterb. Wied.*, że system taki nigdy się nie będzie zgadzał z posłannictwem tej przodującej klasy, że tym sposobem osłabi się jej stanowisko państwowe i społeczne. Z drugiego obozu wybiegały żądania zupełnej odrębności uprzywilejowanego wychowania za pomocą obfitego zasiłku ze szkatuły skarbowej tudzież wielu ulg nadzwyczajnych. Żądania te w znacznej mierze uwzględniono: Zebraniom szlacheckim nadano prawo zakładania osobnych pensyonatów dla dzieci szlachty dziedzicznej, kształcących się w szkołach średnich. Skarb przyjmuje całkowicie koszt urządzenia pensyonatu a nadto w połowie wydatki coroczne na jego utrzymanie. Druga połowa pokrywana będzie z ogólnych funduszów szlacheckich i z pobieranej opłaty.

Ciekawe uwagi, rozwijające tę kwestyę wypowiedziała gazeta *Rosya*: „Trudno przewidzieć — pisze ona — jaki los czeka te pensyonaty, których zadaniem będzie wyodrębnienie dzieci szlacheckich, kształcących się w szkołach średnich, od dzieci wszelkich innych warstw społecznych. Jeżeli wszakże szlachta zajmie się urządzeniem tych zakładów, to korzystać będzie z takiej taniości nauki, jaka jest niedostępna dla innych sfer. Nie dość tego: może ona zniżyć do połowy koszt kształcenia dzieci swoich w wyższych zakładach naukowych, gdyż ma prawo tworzyć stypendya w szkołach wyższych i średnich przyczem połowy funduszu stypendyalnego dostarcza skarb.“

Gazeta robi takie obliczenie przypuszczalne. Jeżeli utrzymanie syna na uniwersytecie kosztuje 300 rb. rocznie, to szlachta danej gubernii może w jakimkolwiek uniwersytecie stworzyć kilkadziesiąt stypendyów po 300 rb. Cel ten osiągnie, jeżeli na każde stypendyum wniesie po 150 rb. (drugie 150 doda skarb). Szlachta nie jest obowiązana swoich 150 rb. zabezpieczać żadnym kapitałem. W uzupełnieniu zasiłków skarbowych na wychowanie dzieci szlachty dziedzicznej postanowiono w dwu nowych korpusach utworzyć kosztem skarbu 415 miejsc bezpłatnych dla synów szlachty dziedzicznej.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Autonomia i zastosowanie jej na prowincyi. — Jak wyglądają urzędy pocztowe w Galicyi.

Krótkie chwile zachwytów nad Galicyą, jako Sardynią polską, minęły. Dynaści tutejsi, ich pachołkowie lub urzędnicy zadowolenia czuli się w obowiązku chwalić wszystko, bo w ten sposób chwalili sami siebie. Gdy tylko kto do nich zwrócił się po informacye, otrzymywał je niewątpliwie zabarwione na różowo, a na poparcie twierdzenia, że statystyka urzędowa daje cyfry, lecz nie daje ich oświetlenia, obładowywano poczciwców „stosami broszurek,“ z których potem fabrykowały się fejletony. Kto jednak patrzył zbyt blizko na codzienne fale naszego życia, a nie należał do tych, którzy „pensye“ pobierają, dostrzegał na różowych barwach kopeć i pleśń bezrządu, niedołęstwa i głupoty zadowolonej z tego, co istnieje. Ażeby ocenić szarzyznę i nieład życia publicznego, należy znać te instytucye, które nie odświętnie, nie dla parady, ale codziennie funkcyonują, których obowiązkiem jest obsługiwać społeczeństwo co-

dzień, co godzina nieraz, załatwiać jego potrzeby i sprawy bieżące.

Wypadek zrządził, że od kilku lat spędzam lato w pewnym powiecie podgórskim D. Pozwolę więc sobie sprawy ważniejsze, państwowe i nasze pozostawić w dzisiejszej korespondencyi na uboczu, a pokazać czytelnikowi kilka faktów z życia, wykazujących dowodnie, jak wyglądają w rzeczywistości hymny na cześć szczęśliwej Galicyi, posiadającej autonomię i konstytucyę. Co innego mieć prawo dobrze robić, a co innego robić. Można posądzać korespondenta o przesadę lub pomyłkę tam, gdzie on zmuszony jest robić wnioski ogólne; dziś podam czytelnikowi fakty tylko — wnioski niech on sam wyciągnie. Że nie chodzi mi o osoby, lecz o treść i charakter ich pracy, świadczy to, że przed sąd publiczny ich nazwisk nie powołam; niechaj je pochłoni fala nicości, jak na to w zupełności zasługują. Czyny ich wszakże powinny zwrócić uwagę tych kacyków, którzy krajem rządzą.

Jako władza administracyjna powiatu, działają u nas t. zw. Rady, z marszałkiem na czele, a z marszałkiem krajowym i Wydziałem krajowym jako najwyższą instytucyą kierowniczą samorządu galicyjskiego. Marszałka krajowego wybiera sejm, który wyznacza Wydziałowi krajowemu kierunek postępowania, a marszałków powiatowych wybierają współpowietnicy, czyli obszar dworski i gmina. Jest on przeto nietylko osobą zaszczyconą zaufaniem, lecz niejako gospodarzem ekonomicznym całego powiatu. Zdawałoby się, że ludzie na takich stanowiskach powinni odpowiedzieć swemu urzędowi wykształceniem, znajomością rzeczy, wreszcie dbałością o dobro publiczne i wygody powiatu, którym administrują. Tymczasem marszałek, któryby swoje obowiązki obywatelskie rozumiał i spełniał, jest białym krukiem. Pod tym względem powiat D. nie należy wcale do wyjątków, ale niedołęstwo administracyi posiada typowe. Przedewszystkiem marszałek sprawami powiatu nie zajmuje się ani szczerze, ani dostatecznie. Wszystko załatwia kancelarya, złożona z urzędników, związanych z sobą i ze swoimi przyjaciołmi zasadą: ręka rękę myje. Przez szereg lat mieliśmy marszałkiem wprawdzie właściciela wielkiej fortuny ziemskiej, ale człowieka, który przyszedł do majątku tą drogą, że był synem wiejskiej dziewki, którego ojciec usynowił przed śmiercią. Przedtem pasał bydło, a najwyższą godnością, jaką w życiu osiągnął, było — robienie pigułek w aptece. Od tego zajęcia, jako dostatecznie zasłużony krajowi i wykształcony, przeszedł wprost do godności marszałka powiatowego, a obecnie jest posłem do Rady państwa, gdzie należy, jako prawowity „konserwatysta," do Koła polskiego, do grupy posłów „milczących." Gospodarstwo w powiecie szło jakoś samo. Teraz mamy zwykłego szlachcica, z dużemi nadziejami wybranego, ale w gminie nic ani na jotę nie poprawiło się i nie zmieniło. Kancelarya rządzi po dawnemu. Kontrola, która należy do Rady powiatowej, można bez błędu powiedzieć — nie istnieje. Nigdy żaden członek Rady powiatowej sam do gminy nie zajrzy. Znam takie, gdzie wójt był wierutnym złodziejem, za pieniądze gminne wraz z pisarzem, lichą kreaturą, prowadził handel wołami, obciążał podatkiem członków gminy i dzielił się z pisarzem — i cóż się stało? Po długich skargach i długoletnich rządach wójta, przyjechał delegat Rady, zażądał ksiąg rachunkowych, podsumował je, sprawdził, że dodawanie zrobiono dobrze, podpisał i — odjechał. Na tem miała polegać kontrola. Oczywiście skargi ustały, bo nie miały celu. Od miasteczka do dworca kolei dwa i pół kilometra drogi, którą przez 20 lat komunikacya była okropna; nareszcie droga stała się niemożliwą do użytku. Zdecydowano zrobić szosę i w ciągu jednego roku ubito kilometr, reszta pozostała do lepszych czasów. Powiat nasz należy do górzystych, komunikacya przeto po każdej ulewie przerywa się, chociaż obok, na tych samych strumieniach, są mosty rządowe, od lat kilkunastu niepotrzebujące reparacyi. To dowodzi, że nie strumienie winny, lecz budowa. I tak jest istotnie. Na jednym z takich potoków w ciągu trzech lat trzy razy most budowano, ale jak? Ściany zewnętrzne, które bezpośrednio stykały się z wodą, układano z małych kamieni sposobem cyklopicznym, a ogromne wewnętrzne przestrzenie wolne zasypywano żwirem rzecznym. Przy każdej takiej robocie nie było ani razu inżeniera i nikogo z Rady powiatowej, ktoby miał pojęcie o budowie mostów. Ażeby takie mosty mogły się zawalić, nie potrzeba wcale wody: dość wyjąć jeden kamień, a reszta osunie się sama. A jednak most, o którym mowa, służy dla kilkunastu wsi jako droga handlowa, a dla tej nieszczęsnej, śród której stoi, jest niezbędnym łącznikiem z polami ornemi. Przez wiosnę i lato stał on rozwalony, świadcząc o niedołęstwie Rady powiatowej, a gospodarze łamali wozy, kaleczyli bydło lub na plecach nosili zboże z pola, nakładając przytem po kilka kilometrów drogi.

Czytelnikowi może to wszystko wydać się błahą rzeczą, ale proszę sobie wyobrazić, że takie niedołęstwo lub brak kontroli panuje na każdem polu pracy publicznej, a wówczas rozpacz ogarnia człowieka. Na ten samorząd, którego próbkę podałem, składamy dwa, a nieraz i trzy razy tyle podatku pod formą „dodatków," ile płacimy rządowi od gruntu — biorę w rachubę tylko własność ziemską włościańską — i cóż za to mamy? Trochę dróg bitych, które możnaby wybudować o połowę taniej i o wiele lepiej. Reszta ugrzęzła wraz ze zdrowym rozsądkiem w robocie kancelaryjnej. W końcu wypada, że płacimy podatki nieproporcyonalnie wysokie do tej odrobiny pożytku, które nam samorząd daje. Wszędzie jest on ratunkiem, u nas — ruiną. Na rachunek podatków publicznych marszałkowie budują drogi do swoich majątków — oto jeden z pożytków autonomii galicyjskiej.

W większych miastach, gdzie istnieje bodaj jakakolwiek kontrola publiczna, ktoś na te niegodziwości zwraca uwagę, ale na prowincyi, w miasteczkach powiatowych o wygodzie współobywateli nikt nie myśli, każdy szarpie w swoją stronę. Sądownictwo jedynie może być wolne poniekąd od tego zarzutu. Ażeby dać czytelnikowi pojęcie o porządkach prowincyonalnych, słówko jeszcze powiem o urzędzie pocztowym w D.

W Austryi wszystkie poczty są rządowe, ale niektóre, mniej opłacające się lub nieopłacające się wcale, rząd wydzierżawia osobom prywatnym. To samo dzieje się i w Galicyi. Rząd utrzymuje wprawdzie kontrolę nad niemi, ale o tyle tylko, o ile to dotyczy bezpieczeństwa powierzonych mu funduszów. Reszta mało go obchodzi.

Wybór większości urzędników na pocztach dzierżawionych zależy od dzierżawcy, a w jego interesie nie leży wcale dobrze płacić i dać dobrą obsługę publiczności. Dzieje się przeto według przysłowia: tanie mięso psy jedzą. Poczta w D. nie jest wcale wyjątkiem. O lepsze trudno, ale gorsze są. Oto garść faktów *rzeczywistych*, notowanych dzień po dniu przez jednego z odbiorców poczty w D. Cierpliwy rachmistrz zaczął spisywać swój dziennik dopiero od 8 sierpnia i doprowadził tylko do 22-go. Na więcej nie wystarczyło snać cierpliwości. Odbierał on za pośrednictwem poczty pięć dzienników i pięć tygodników. Co do miesięczników, nie mówię o nich, gdyż dochodziły zwykle dość regularnie. Otóż rachunek z pocztą w D. tak wyglądał: 10 sierpnia nie otrzymano jednego dziennika, 12 — trzech, 15 — jednego, 16 — jednego, 17 — jednego, 19 — jednego, 20 — dwu, 21 — dwu. I zapewne ten stosunek utrzyma się aż do 1 września. Tego wszakże nie dość. W tym czasie otrzymał trzy przesyłki ze Lwowa, za które kazano mu płacić (za *doręczenie*), chociaż odebrał je na poczcie w urzędzie za pośrednictwem swego służącego. Na jednej z tych posyłek porachowano należytość złr. 3,78, gdy należało się tylko 1,78. Opaski polecone, chociaż dochodziły jako opaski, a na kopercie wyraźnie było napisano: *opaska polecona*, musiał opłacać jako listy polecone. Ile razy tylko służący, albo inni, których los skazał na stosunki z pocztą miejscową, żądali znaczków, czyli marek pocztowych, odsyłano ich do t. zw. „trafiki," czyli sklepiku o pół kilometra od poczty. Pisma ilustrowane z ładnemi rycinami, a szczególnie z dodatkami powieściowymi zbroszurowanymi są ulubionym owocem urzędników pocztowych, osobliwie jeżeli przychodzą z za granicy, gdyż wówczas dygnitarz dzierżawiący pocztę posyła interesanta z reklamacyą „za — granicę."

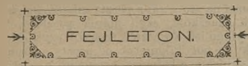
Na dowód, że przytoczyłem liczby rzeczywiste, według porządku codziennego notowania, gotów jestem c. k. dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie zakomunikować oryginalny dziennik. Rok bieżący szczególnie był ciężki i wykazywał dużo skarg. Postanowiłem zbadać przyczynę. Otóż pokazało się, że poczta posiada trzech niby urzędników: jeden niedoszły ksiądz, jedna stara panna bez przytułku i bez rodziny i jedna panienka, szukająca męża na gwałt. O ex-seminarzyście opowiadają, że od każdego listu poleconego bierze nadwyżkę 5 centów — na cygara. Stara panna posiada bardzo urozmaiconą i bogatą we wspomnienia przeszłość; służyła już na poczcie, ale wplątawszy się w bardzo brzydki proces, zmuszona była zostać kucharką. Na tem stanowisku społecznem przebyła trzy lata, a gdy proces zakończył się pomyślnie o tyle tylko, że straciła kaucyę, znowu znalazła się na poczcie. O trzeciej mówić nie będę, boć to przecie nic złego nie jest, gdy najskromniejsze nawet panny pragną wyjść za mąż. Nie można jej przebaczyć tylko roztrzepania, mającego źródło swoje — w brzydkiej połowie.

Gdybyśmy przejrzeli akty urzędników poczt prowincyonalnych, niewątpliwie, że $^2/_3$ składałoby się z podobnych rozbitków, jak poczta w D. Są to ludzie bardzo małego wykształcenia, elastycznej moralności, licho płatni, zapatrujący się na obowiązek swój, jak na chwilowy przytułek — najczęściej lekkomyślni i mało mający pojęcia o tem, czem jest najniższy obowiązek publiczny i czego od niego wymagać należy. Nic przeto dziwnego, że oprócz lekceważenia obowiązka, są oni wyznawcami pewnego rodzaju komunizmu pocztowego. Jeżeli urzędnik z takiej kategoryi pożycza sobie z pieniędzy złożonych do przesyłki na wieczne nieoddanie, albo go przyłapią, albo ucieknie. Fakty tego rodzaju powtarzały się zbyt często. Ktoś jednak pilnuje tego. Ale kontrolowanie rzetelności opłat, rzetelności ekspedycyi pism i listów usuwa się prawie zupełnie z pod kontroli — na tem też polu można sobie wszystkiego pozwolić. I poczty prowincyonalne obficie korzystają z tego przywileju — niekontrolowanego nieładu. Dyrekcya zamiast karać nadużycia, zasłania je tolerowaniem, opierając się na urzędowem oświadczeniu, że „po dokonaniu dochodzenia okazało się, że wszystkie listy i dzienniki są wysyłane regularnie." Taka jest stereotypowa odpowiedź.

Główną i największą przyczyną tego bezładu jest przedewszystkiem rząd austryacki. On i na poczty wprowadził system zdzierstwa: te, które dochodu nie przynosiły, oddał w dzierżawę, tj. z góry skazał je na wyzyskiwanie publiczności. Ażeby pobierać dochody tam nawet, gdzie

nic do wzięcia niema, musi on tolerować w urzędzie zarówno lichych dzierżawców, jak i lichych urzędników. To, co się dzieje na pocztach prowincyonalnych, jest albo zwykłą kradzieżą, albo okpiwaniem i oszustwem. W takich warunkach, jak dzisiejsze, nie może być nawet inaczej, gdyż większość urzędów pocztowych drugiej kategoryi obsadzona jest podoficerami w dymisyi, protegowanemi pokojówkami, niedoszłymi klechami i faworyzowanemi pannami na wydaniu. A tych wszystkich biedaków wyzyskuje jeszcze dzierżawca poczty.

Cho.



LIBERUM VETO.

W sprawie klasycyzmu.

Sądząc z dotychczasowych wyników praktycznych wieloletniej a bezpłodnej waśni o program szkoły średniej, należałoby mniemać, że to nie jest zagadnienie możliwe do rozstrzygnięcia, lecz jakaś kwadratura koła, na której spiłowywują się daremnie mózgi ludzkie. I rzecz dziwna: wszystkim ta sprawa wydaje się prostą i łatwą do rozstrzygnięcia, a nikt nie może doprowadzić jej do końca. Zarówno w sferach rządowych, jak w kołach opinii publicznej porusza się ciągle wahadło sądów między *realizmem* a *klasycyzmem*, które są dwoma biegunami mniemań w całej Europie. Tę dawno odstałą i niby sklarowaną, a w rzeczywistości mętną mieszaninę poglądów, którą ustawicznie raczą się publicyści wszystkich krajów, przefiltrował znowu p. K. Kaszewski w *Bibliotece warszawskiej*. Przedstawiwszy zarzuty realistów przeciwko klasycyzmowi i przyznawszy im względną słuszność, oświadcza się on jednak za nauką języków starożytnych w gimnazyum dla humanizmu, który stanowi niewątpliwie dobro ludzkie, a tylko na tej drodze może być zachowany.

Starzy i nowsi filozofowie twierdzili, że główną przyczyną błędów i nieporozumień w myśleniu ludzkiem jest nieścisłe i rozmaite pojmowanie wyrazów. Istotnie, bardzo często widzimy zapaśników wodzących się za czuby dlatego tylko, że obaj biorą to samo słowo w odmiennem znaczeniu. Taką kością niezgody stawał się również *humanizm*. Wyraz jest to doniczka, w którą każda nowa epoka, a nieraz nowe pokolenie wsadza sobie własny kwiatek, a ludziom się zdaje, że jest to trwała roślina, która tylko rozrasta się w świeżych gałązkach. Co innego też znaczył humanizm w w. XVI, a co innego w naszym. Wtedy był on reakcyą przeciwko ascetyzmowi i scholastycyzmowi wieków średnich, obecnie zaś jest obroną i ochroną wszechstronnych praw człowieka przeciwko przymusom społecznym. Gdyby na polach Elizejskich duch Rotterdamczyka spotkał się z duchem Johna Milla, z pewnością mniejby w nim dostrzegł powinowactwa z sobą, niż w cieniu Piusa IX. Otóż czy my w świecie klasycznym, a zwłaszcza rzymskim, możemy odnaleźć pierwowzory, albo nawet zaczątki naszego humanizmu tegoczesnego? Bynajmniej. Społeczeństwo, które z całą surowością i okrucieństwem podtrzymywało instytucyę niewolnictwa, które kobietę czyniło służebnicą mężczyzny, które oddychało żądzą zaborów i gwałtów, które każdą indywidualność wtłaczało w ramy żołniersko-obywatelskie, które upaństwowiło myśli i drgnienia serc, nie mogło być i nie było ogniskiem uczuć humanitarnych. Gdzież więc w owej sławnej łacinie tryska tak obfite ich źródło, że aż dotąd zasila dusze nasze? Prawdopodobnie czciciele tego źródła nie sądzą, ażeby ono było w gramatyce. Nikt chyba nie powie, że znajomość deklinacyi, koniugacyi, składni, wyjątków od prawideł uszlachetnia nasze uczucia i zasady. Ten wpływ musi przechodzić na nas z ducha dzieł klasycznych. Przypuśćmy, że on istotnie wydobywa się z życia i utworów najbardziej rozbójniczego państwa w historyi; ale czy z niemi zaznajamia nas tresura szkolna? Niech każdy odpowie na to pytanie szczerą spowiedzią własnych wspomnień i doświadczeń. Przeszedłem wyborne gimnazyum lubelskie w licznej gromadzie kolegów, między którymi znajdowoli się bardzo zdolni. Chociaż niektórzy z nich byli uczniami celującymi w językach starożytnych, nie przypominam sobie ani jednego, któryby mógł i przeczytał jakiekolwiek dzieło łacińskie całkowicie (o greckiem nie mówię). Umieliśmy doskonale tłomaczyć ustępy odrabiane na lekcyach i nic więcej. W ostatecznym przeto rezultacie najlepsi z nas po wyjściu z gimnazyum mieli w głowie kawałki: Korneliusza, Cezara, Liwiusza, Tacyta, Wergiliusza, Owidyusza, Horacego. Jakim sposobem z tych okruchów mógł się złożyć „duch literatury łacińskiej“ i materyał do wyrobienia „humanizmu“ — tego cudu wyobrazić sobie nie umiem. Jeżeli ów „duch“ w nas wszedł — to chyba przez naukę historyi, której nie należy mieszać z gramatyką i przekładami oderwanych ustępów. Ponieważ zaś taki plon daje każde gimnazyum klasyczne, ponieważ wszyscy kończący je uczniowie — wyjąwszy nadzwyczaj drobny ich procent — oryginałów łacińskich w całości nie czytają i czytać nie mogą, do czegóż więc redukuje się odniesiona korzyść z owych „kawałków“?

„Łacina — powiada p. Kaszewski — wprowadza nas zaraz w dzieciństwie w porządek myśli i obrazów *odmiennego* typu od dzisiejszych, a jednak ludzkich, przez co wobec codziennych oddziaływań teraźniejszości burzy stagnacyę duchową, wywołuje w nas odmienne stany psychiczne, które następnie układają się z pozostałymi do nowych kombinacyj i nowej równowagi.“ Nie będę badał, jaki pożytek odnosi młody umysł z tego „wprowadzenia w porządek myśli i obrazów odmiennego typu od dzisiejszych“ i z tych „odmiennych stanów psychicznych“; nie będę dowodził, że są lepsze i skuteczniejsze środki „burzenia stagnacyi duchowej,“ niż ośmioletnie kucie martwego języka; zauważę tylko, że całą tę pochwałę można bez zmiany przenieść na sanskryt, na narzecza australskie lub mongolskie. One również wprowadzą nas „w porządek myśli i obrazów odmiennego typu“ i wywołają w nas „odmienne stany psychiczne.“ Albo weźmy przykład jeszcze wymowniejszy. Przypuśćmy, że ktoś zaproponuje włączenie do programu szkół średnich nauki języka hebrajskiego. Będzie on mógł na poparcie swego żądania przytoczyć jeszcze więcej i daleko silniejszych argumentów, aniżeli obrońcy klasycyzmu. Bo powie: język, w którym spisane zostały księgi święte, służące dotychczas za grunt cywilizacyi, dostarczające nam ciągle podwalin i rusztowań dla filozofii, prawa, moralności, religii, język, którym przemawiał Bóg w objawieniach i Chrystus w nauczaniu, powinien być znany każdemu chrześcianinowi, gdyż najstaranniejsze tłomaczenie nie zastąpi mu oryginału. Daleko ważniejszą zaś dla niego rzeczą jest dziesięcioro przykazań, niż anegdota o Mucyuszu Scewili lub Scypionie Afrykańskim.

Czemże by to rozumowanie odparł p. Kaszewski?

Wykazując dalsze pożytki ze znajomości łaciny (greckiego w szkole średniej nie broni), rzuca na szalę i ten wzgląd, że bez niej obyć się nie mogą ani księża, ani historycy. Prawda, ale szan. autor zapomina, że jest to zbyt wielka ofiara żądać od kilkunastu tysięcy chłopców, ażeby się kształcili w chodzeniu na jednej nodze dlatego, że może pięciu z nich kiedyś okuleje. „Bez znajomości łaciny — twierdzi p. K.— katolik jest czemś *niekompletnem*... Prawda, że często oprócz księdza, cały jego sztab kościelny: chłopiec, organista, braciszek mało ten język rozumieją, albo zgoła nic, na kościele *podobnież;* ale czy to się chwali?“ Otóż właśnie się chwali, a p. K. ani przypuszcza, że przez to twierdzenie staje się katolikiem „niekompletnym.“ W każdym bowiem podręczniku liturgiki, używanym w szkołach, znajdzie wyraźnie zaznaczoną korzyć z *nieznajomości* łaciny śród wiernych. „Język łaciński — czytamy u ks. Kowalewskiego (str. 28) — nietylko dlatego jest dla liturgii odpowiednim, że jest martwym, ale i dlatego także, że będąc *obcym*, rozlewa na św. Tajemnice pewien *urok i powagę*, okrywa je tajemniczą zasłoną, która *podnieca i wzmacnia* uczucie religijne.“ Prawie wszyscy obrońcy łaciny w kościele katolickim podnosili doniosłe znaczenie tej tajemniczości i bynajmniej nie chcieli, ażeby ona była usunięta i ażeby ogół zgromadzonych na nabożeństwie rozumiał, co ksiądz przy ołtarzu śpiewa lub mówi. Z tego stanowiska sądząc, wierzymy statystyce, że na kuli ziemskiej znajduje się 245,000,000 katolików, ale ze stanowiska p. Kaszewskiego należałoby przyznać, że jest ich zaledwie 5 milionów kompletnych, a 240 mil. niekompletnych. U nas, odjąwszy lud, kobiety, wychowańców szkół zawodowych, a nawet znaczny procent klasycznych, doliczylibyśmy się co najwyżej parę tysięcy katolików „kompletnych.“

Jest to dla mnie zawsze przedmiotem wielkiego zdziwienia, czemu ludzie rozumni pojmują, iż np. z drzewa nie można zrobić struny skrzypcowej, a z metalu gąbki, a zarazem mniemają, że z człowieka można przez odpowiednią tresurę zrobić, co się podoba. Pomijając wszelkie właściwości przyrodzone, rozkazujemy schematycznie: ty będziesz się uczył przez osiem lat języków starożytnych, ty — algebry, ty — mechaniki itd. Rzeczywiście, organizm ludzki, nawet w najuboższej swej postaci jest ustrojem tak bogatym, że z niego zawsze wydobędziemy bodaj maleńką zdolność pożądaną. Zrebakowi nie wkujemy ani jednej deklinacyi łacińskiej, natomiast każdy chłopiec mniej lub więcej wyuczy się całej gramatyki. Ale czy warto i należy dokonywać tych gwałtownych operacyj, czy nie marnujemy przez nie olbrzymiej sumy stłumionych uzdolnień i ich owoców? Jest to nietylko bezcelowe kaleczenie jednostek, ale jest to dobrowolne i marnotrawne zubożanie się w ogólnych dorobkach kultury. Gdyby ludzkość od pierwszych chwil systematycznego kształcenia się rozwijała istotne siły umysłowe każdego osobnika, dosięgłaby ona dziś tego punktu w postępie, do którego dojdzie może za 20 wieków. Najpowierzchowniejsza obserwacya wskaże nam, że człowiek z nadzwyczajną szybkością przyswaja sobie te wiadomości, do których posiada zdolność i czuje zrodzoną z niej sympatyę. Pozwolę sobie przytoczyć tu przykład z własnego doświadczenia. Nie odznaczałem się nigdy trwałą i szczegółową pamięcią, a tacy jej mocarze, jak Chmielowski lub Krzemiński wzbudzali we mnie podziw. Mimo to, kiedy dla dogodzenia silnemu upodobaniu czytałem wielkie i przepełnione drobiazgami dzieła ogrodnicze, chociaż one leżały daleko po za granicami głównych moich studyów, zapamiętywałem łatwo ogromne masy nazw, faktów i spostrzeżeń, które dotychczas tkwią niezatarte w moim umyśle. Dlaczego? Bo mnie żywo zajmowały. Otóż zbadawszy upodobania młodzieży szkolnej przekonamy się, że niezmiernie mała jej cząstka obja-

wia je do języków starożytnych. I to jest główny powód, dla którego chłopiec, ucząc się przez osiem lat łaciny i greki, nie zna ich dobrze po wyjściu z gimnazyum. Co mu w głowę wbije dziś przymus, to mu jutro wyważy z niej obojętność lub odraza.

Nie lekceważę bynajmniej znajomości języków starożytnych, oceniam należycie ich wielką rolę historyczną i znaczenie dla teraźniejszości; ale sądzę, że one powinny być przedmiotem studyów specyalnych, nigdy zaś częścią składową szkół powszechnych. Niech istnieją osobne dla nich zakłady — to wystarczy. Jeżeli zaś jakiś uczony (np. historyk) znajdzie się w potrzebie przyswojenia sobie tych języków dla korzystania bezpośrednio ze źródeł, pozna je w nieporównanie krótszym czasie i z mniejszym nakładem pracy, niż gimnazista. A co do humanizmu, płynącego z tej strony, porzućmy pusty frazes. Historya, biologia, fizyologia, psychologia, socyologia, historya literatury dostarczają więcej zasad i budzą więcej uczuć humanitarnych, niż wszystkie gramatyki i słowniki greckie i rzymskie. To są wystygłe wulkany, skrzepłe lawy, kopalne pomniki i formy życia, które ogółu nie elektryzują. Szkoła może mieć na celu tylko: przygotowanie swych wychowańców do osiągania szczęścia i wykrywania prawdy. Drogi do szczęścia łacina z greką nie wskazują, a do wykrycia prawdy pomagają zaledwie w maleńkim zakresie badań specyalnych. Po co więc to brzemię kłaść od dzieciństwa na wątłe ramiona młodych pokoleń?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Maryan Dubiecki: *Obrazy i studya historyczne* (serya druga), Warszawa, Gebethner i Wolff, 1899, str. 325.

Tytuł zarysów historycznych p. Maryana Dubieckiego nie zupełnie zdaje się odpowiadać ich zawartości. To nie są, w większości wypadków, ani „obrazy,“ ani „studya“ — to są przeważnie rozmyślania. Autor bierze wiązkę jakąś materyałów, najzwyklej drukowanych, rzadko rękopiśmiennych, zestawia i parafrazuje fakty główne, do przedmiotu się odnoszące i robotę tę, nader w gruncie rzeczy nikłą, przeplata uwagami w stylu mglisto-poetyckim, podobnym do westchnień nad tem, co minęło, albo też nawet nad tem, coby się stać było mogło. Tematy zaczerpnięte z dziejów dawnej Rusi, jak np. „Kudak“ (w pierwszej seryi) lub „Zawiązki siczy zaporoskiej“ (w seryi drugiej) odznaczają się większą jeszcze nieco przedmiotowością wykładu, chociaż koloryt zawsze blady, a erudycya jakby od niechcenia — doryweza, pobieżna, niewysilająca się na zwięzłe a całkowite objęcia i wyczerpanie źródeł. Natomiast w monografiach z głównego potoku przeszłości polskiej, jak np. „Dwie królowe,“ „Przedstawicielki dawnych dynastyj,“ „Katarzyna Jagiellonka“ — subjektywizm elegijny płynie pełnem korytem. Jak gdyby dla przestrogi i napomnienia samego siebie, autor powiada w jednem miejscu: „Świadectwa powstające z głębin prastarej przeszłości, chociaż niekiedy zbyt lakoniczne lub zbyteczną prostotą tchnące, stokroć więcej nauczyć nas mogą, niż daleko sięgające odgadywania lub rozumowania, acz w formę ponętną odziane...“ A przecież, w trzech pomienionych szkicach daje nam p. Dubiecki same tylko niemal cienie, same tylko odblaski odgadywań i domysłów swoich nad tem, jakiemi to pociechami lub męczarniami wewnętrznemi nawiedzał Bóg następujące niewiasty domu jagiellońskiego: 1) żonę Kazimierza Jagiellończyka Elżbietę, rakuzankę, młodszą córkę cesarza niemieckiego Albrechta II; 2) żonę Aleksandra Jagiellończyka, Helenę, córkę w. ks. moskiewskiego Iwana Wasilewicza; 3) pierwszą żonę Zygmunta Starego, Barbarę Zapolską, córkę Stefana Zapolyego, władcy Trenczyna, wojewody siedmiogrodzkiego i Jadwigi z książąt cieszyńskich; 4) żonę Jana ks. finlandzkiego, później króla szwedzkiego, Katarzynę, młodszą córkę Zygmunta Starego, z drugiej jego małżonki Bony; wreszcie 5) Annę Wazównę, córkę poprzedniej, rodzoną siostrę Zygmunta III. Z Długosza, Marcina Bielskiego, Górnickiego, Wapowskiego, z „Tomicyanów“ i „Skarbca“ Daniłowicza, zwłaszcza z „Jagiellonek“ Przezdzieckiego wiemy, że w ogólności drogi ich żywota nie były usłane różami bez kolców. Każda z nich niosła mniej więcej ciężki krzyż Pański. Nie w pierwszej, to w drugiej połowie ziemskiego ich istnienia, nie za młodu, to na starość, nie na schyłku, to w kwiecie lat „biły w ich sercach gromy rodzinnych klęsk“. Ale jakże *inaczej* — w przypuszczeniach autora — biły one w sercu Elżbiety, Barbary, Katarzyny, a *inaczej* w sercu Heleny i Anny! Elżbieta patrzyła na zgon swoich dzieci, traciła najukochańszego z synów, Olbrachta; Barbarę dręczyła nieustająca zazdrość i obawa o lat blizko trzydzieści starszego od niej małżonka: Katarzyna, zanim się dostała na tron, zaznała wszystkich katuszy i niewygód więzienia — ponieważ jednak „nie wymagały one od życia więcej, niż ono pospolicie przynosi,“ ponieważ „w spełnianiu obowiązków widziały największą podstawę szczęścia“ — więc *to* ich nie zawiodło...“ A Anna, a Helena?.. Czy nie pełniły swych obowiązków, czy żądały od życia czegoś więcej, niż ono dać może pospolicie?.. Tak, prawie... najprawdopodobniej. Trzeba bowiem wiedzieć, że Anna była protestantką, Helena zaś należała do kościoła wschodniego. Jedna, zawiedziona brzydko przez margrabiego brandenburskiego, Jana Jerzego, który się sprzeniewierzył danym przyrzeczeniom, poświęciła się w swem starostwie brodnickiem uprawie nauk ścisłych i pędząc swe dni w ciszy i spokoju, energię swą skierowała ku pracom w zakresie botaniki, czyniła „jakieś doświadczenia chemiczne“; Helena znowu, odgrodzona od świata murami zamku wileńskiego i cerkwi Przeczystej, gorąco broniła nowej swej ojczyzny od zachwalanych uroszczeń swojego ojca i w listach do niego, których by się Joanna d'Arc nie powstydziła, poskramiała jego zaborcze widoki i zapędy... I *to* właśnie ich zawiodło — o ile ze wszystkiego wnosić wolno... Gdyby tak np. pilnowały były wyłącznie łoża małżeńskiego, zajęć domowych i książki do nabożeństwa, bardzo być może, a nawet o ile się autorowi zdaje, niezawodnie byłyby znacznie mniej łez upokorzenia i zawodu wylały między czterema ścianami przedśmiertnego swojego odosobnienia. W każdym razie p. Dubiecki sporządziłby dla ich nekrologów przyprawy tej samej słodkawo-beletrystycznej treści, co i nekrologi Elżbiety, Barbary, Katarzyny. Obywatelskie lub ogólno-ludzkie zachcianki w kobiecie — choćby na tronie powstawały — do czegóż prowadzą? — zwłaszcza gdy zakwitają na drzewie protestantyzmu?.. To też ani Anna, ani Helena nie znalazły — po śmierci — miejsca w królewskich grobach na Wawelu. Szczątki Anny spoczęły w bocznej kaplicy kościoła Panny Maryi w Toruniu, Helenę pochowano w podziemiach katedry Bogarodzicy w Wilnie, na Popławach, w pobliżu górnego zamku, skąd ciało jej i grobowiec stargała i wyrzuciła później, wśród niepoczciwego opuszczenia i sponiewierania świątyni, jedna z cięższych powodzi Wilenki... Autor nasz, nie barbarzyńca, zdobywa się przecie w końcu na słówko współczucia: „Helena — powiada — wylewa na papier w listach do rodziców ból bezbrzeżny, zgrozę, którą się napełnia jej serce... Nic innego dać nie może nad łzy własne... Uszanujmy (?) łzy biednej, samotnej niewiasty...“

J. T. H.

SZKICE ANTOPOLOGICZNE.

Postęp w zakresie etnografii.—Prace australskie.—Poszukiwania B. Spencera i Gillena, w jaki sposób powstały. — Totemizm i przewrót sprawiony przez nowsze studya. — Pojęcie totemizmu. — Na czem polega przewrót. — Parę uwag.

Socyologia etnograficzna niezaprzeczenie robi bardzo znaczne postępy. Jeśli porównamy jej stan z przed lat dziesięciu z obecnym, to okaże się, że nawet w tak krótkim odstępie czasu bardzo posunęła się naprzód. Chyba nie przesadzimy, twierdząc, iż wtedy była w wieku dziecięcym, obecnie wyrosła na młodzieńca. Postęp ów spostrzegamy w zakresie niemal wszelkich zagadnień i w stosunku do różnych punktów globu. Wprawdzie dla jednych okolic rozwój odbywa się w prędszem tempie, dla innych jest słabszy, ale zawsze i wszędzie istnieje. Jedna Brazylia stanowi najpoważniejszy wyjątek w tym względzie. Tyle tam jest do zbadania, i to może rzeczy niezmiernie ciekawych. Kraj ten jest uprzywilejowanym zakątkiem „dzikiego“ rolnictwa, kuwady, i wielu innych osobliwych zwyczajów. Prace K. Steinena i Ehrenreicha przelały nieco światła, rozbiły twierdzenia o istniejącem tam zmieszaniu i chaosie ludów, ale tylko wzbudziły tem większą ciekawość, nie odchylając zasłony. Natomiast ląd nowo-holenderski jest widownią pracy bardzo usilnej.

Australia, owa kraina, zamieszkała przez szczep najniżej stojący w hierarchii ludów, uchodziła za tajemniczą okolicę, która pozostanie niezbadaną wskutek niezmiernie szybkiego wymierania tubylców. Prace Howitta, dotyczące stosunków społecznych, właściwych człowiekowi lądu kopalnego, wykazały istnienie tam tak szczególnych i charakterystycznych zwyczajów, iż niebawem cała uwaga badaczów miejscowych została skierowana ku temu przedmiotowi. Odszukano prace różnych misyonarzy i osadników, nieraz spoczywające w rękopisie, które niekiedy przedstawiają znaczną wartość. Różne towarzystwa naukowe, a jest ich bez liku na lądzie kopalnym, zaczęły popierać poszukiwania i zwolna w łamach ich wydawnictw pojawiły się przyczynki do dziejów tuziemców. Rządy Wiktoryi, N. połud. Walii i innych prowincyj zaczęły popierać studya i wydawać nieraz bardzo cenne. Ukazało się przed laty trzema specyalne czasopismo, *Australian Anthropological Journal*, które zawarło w sobie parę niemal pierwszorzędnego znaczenia wiadomości. Zdaje się nawet, jak gdyby wszelkie siły naukowe i wogóle inteligentne lądu nowo-holenderskiego, świadome, iż najcenniejszym z przyczynków do skarbnicy wiedzy, jaki mogą one włożyć, jest poznanie stosunków tubylczych, zwróciły się przedewszystkiem w tym kierunku. Wreszcie w roku bieżącym pojawiła się książka zbiorowa Baldwina Spencera i F. J. Gillena, należąca niewątpliwie do pierwszorzędnych przyczynków w literaturze socyologiczno-etnograficznej, która odrazu autorom zapewniła stanowisko to samo, jakie zajmował ongi Morgan lub Howitt. Dzieło sprawiło zupełny przewrót w wielu

naszych zapatrywaniach co do początku urządzeń społecznych, wykazując istnienie zgoła nowych zjawisk. O jej doniosłości świadczą chociażby rozprawy, jakie odbywały się w towarzystwie antropologicznem londyńskiem bieżącego roku. Mimo że książka wyszła dopiero przed rokiem, zdobyła już sobie imię powszechne w kołach specyalistów.

Parę słów o dziejach jej powstania.

Przed kilku laty przedsiębrano wyprawę naukową w celu zbadania Australii środkowej. Wyprawa ta jest znana pod nazwą ekspedycyi J. W. Horna. Poszukiwania objęły różne strony przyrody tamtejszej, w tej liczbie także stosunki etnograficzne. Sprawozdanie o otrzymanych rezultatach ogłoszono w czterech tomach w r. 1895 i 1896. Tom czwarty został poświęcony antropologii i zawarł w sobie badania E. C. Sterlinga z uzupełnieniami F. J. Gillena, tak zwanego podprotektora tubylców, tj. urzędnika służby dozorczej nad czarnymi, znającego ich język i posiadającego ich zaufanie. Redaktorem odpowiedniego działu był jeden z kierowników wyprawy, Baldwin Spencer, profesor biologii w uniwersytecie w Melbourne. Ten tak zainteresował się zawartemi w sprawozdaniu antropologicznem informacyami, iż na czas dłuższy udał się do opisywanych plemion, zaopatrzywszy się w przyrządy fotograficzne i inne potrzebne sprzęty. Jako towarzysza poszukiwań dobrał sobie Gillena, który, odgrywał rolę, bezpośredniego spostrzegacza. W ten sposób powstało dzieło, noszące nazwę „Plemiona tubylcze Australli środkowej.“

Otrzymane rezultaty co do stosunków małżeńskich potwierdziły zupełnie hipotezy Howitta i zadały kłam różnym wywodom Starckego, Westermarcka, Cunowa. Ale jest to strona najmniej doniosła dzieła. Daleko ważniejsze znaczenie posiadają przyczynki, dotyczące totemizmu. W tym względzie studya obu wymienionych badaczów właśnie sprawiły przełom w dotychczasowych poglądach. Przyznał to Frazer, najwybitniejszy dzisiaj specyalista co do totemizmu i autor specyalnej monografii, poświęconej temu przedmiotowi.

Przyjrzyjmy się istocie totemizmu oraz teoryom dotychczas podawanym.

Społeczeństwa ludów dzikich i barbarzyńskich pospolicie rozpadają się na pewną liczbę rodów, noszących nazwę zwierzęcia. Jeśli np. weźmiemy Iroków, znajdziemy tam u nich żółwiowców, jeleniowców, bawołowców itd. Każdy z tych poddziałów podlega zakazowi zawierania związków małżeńskich w swoim obrębie—jest zewnętrznożenny, egzogamiczny, jak brzmi termin zazwyczaj używany. Nadto każdy taki ród przestrzega troskliwie względem swego zwierzęcia totemicznego pewnych przepisów, np. nie zabija go, nie spożywa jego mięsa. Te przykazania pochodzą z przeświadczenia, iż pomiędzy daną grupą rodowców a odpowiednim gatunkiem zwierzęcym istnieje ścisła solidarność, oparta na pokrewieństwie. I człowiek i zwierzę, jak powiada Australczyk, są z tego samego mięsa. Sam totem jest ściśle związany z rodem, przechodzi na zasadzie dziedzictwa z jednego pokolenia na następne, zarówno w linii męskiej, jak żeńskiej.

Takie stosunki znalezione w Ameryce Północnej, takie wreszcie odkryto w różnych punktach lądu australskiego.

Tymczasem badania Spencera odsłoniły zgoła odmienny obraz. Przedewszystkiem dowiodły one, iż totemizm może przechodzić z pokolenia na pokolenie w inny sposób. W obrębie badanych plemion, mianowicie u Aruntów i innych, liczących zaledwie po kilkuset członków, istnieje pewna liczba terytoryów, z których każde jest związane z pewnem zwierzęciem. Plemienice nosi nazwę tego stworzenia, a raczej należy do tego totemu, w jakiej miejscowości się urodził. Totem więc w ten sposób czasami jest dziedziczny w linii męskiej, czasami w żeńskiej, niekiedy zaś dziecko nosi go niezależnie od tego, do jakiego działu totemicznego należy jego ojciec i matka. To jedno. Powtóre istnieją w plemieniu t. zw. klasy, tj. podziały regulujące małżeństwo, ale nie identyczne z rodami. Polegają one na tem, iż ojciec należy do jednej klasy, matka do drugiej, dzieci ich do nowej, poczem w trzeciem (nieraz w piątem) pokoleniu powracają dawne nazwy klasowe, a raczej generacyjne. Dziedzictwo tych nazw jest ściśle określone. Otóż ten sam totem może, wobec warunków jego przenoszenia, przypadać na jedną klasę lub drugą, znajdującą się w stosunku do innych w zewnętrznożeństwie lub wewnętrznożeństwie. W następstwie tego przestaje on być organizacyą zewnętrznożenną, jak dotychczas przypuszczano. Jeden z przymiotów, uchodzących za rys charakterystyczny totemizmu, upadł! Upada i inny, polegający na przypuszczeniu, iż od totemizmu nieodłączne jest powstrzymywanie się od spożywania swego zwierzęcia totemicznego. Przeciwnie, są okoliczności, w których członek danej grupy, noszącej nazwę pewnego zwierzęcia, właśnie jest obowiązany do zjedzenia kawałka jego mięsa.

Z totemizmu, jak go sformułowano w studyach dotychczasowych, nie pozostaje kompletnie nic, wszelkie jego charakterystyki znikły u Aruntów. A wraz z tem i same teorye, wysnuwane co do początku odpowiednich zwyczajów, muszą uledz zupełnemu przekształceniu. Powstaje pytanie, na co członkom plemienia Arunta służyć może instytucya tego rodzaju? Nie reguluje ona zakazów małżeńskich, nie powstrzymuje człowieka od spożywania swego zwierzęcia totemicznego. Swoją drogą spełnia ona tam zadania bardzo ważne. Dodajmy, że istniały już poprzednio pewne wskazówki w tym kierunku, ale jakoś, pod wpływem powziętych z góry teoryj, nie były uwzględnione w nauce.

Totemowcy, pomimo iż rzadko są związani wspólnością krwi, co zdarza się tylko w razach przypadkowych, przedstawiają całość solidarną. Ciąży na nich obowiązek zapewniania plemieniu obfitości w obrębie właściwego jej gatunku zwierzęcego lub siły przyrody; stanowią oni, jak wyraził się Frazer, towarzystwo czarodziejów, panujących nad odpowiednią każdorazowo dziedziną martwej lub organicznej przyrody. Kiedy zbliża się pora sezonowa pewnego zwierzęcia, członkowie odpowiedniego totemu odprawiają swoje ceremonie, mające zapewnić współplemieńcom jadło. Deszczowcy spełniają obrzędy sprowadzające deszcz; kangurowcy — obfitość kangurów itd. Ceremonie same polegają między innemi właśnie na spożyciu zwierzęcia, w innej zaś porze jedzenie to jest bardzo ograniczone i wyjątkowe. Każda grupa taka, rozproszona pomiędzy różne klasy, wyprowadza siebie od przodków, którzy ongi zamieszkiwali pewną część terytoryum plemiennego, tę mianowicie, gdzie obecnie są obchodzone odpowiednie obrzędy czarodziejskie i gdzie urodzone dziecko będzie należało do danego totemu. Ci dalecy praojcowie przebywali w granicach owej okolicy i posiadali magiczną władzę nad danym gatunkiem zwierzyny. Pochodzenie to nie jest fikcyjne dla Australczyk. Na powstanie płodu w łonie matki zapatruje się on inaczej, niż my, mniema bowiem, iż dla zapłodnienia kobiet trzeba pewnych sił czarodziejskich, przy których istnieniu mężczyzna jest względnie osobą drugorzędną. Totemowcy właśnie w taki sposób magiczny pochodzą od owych przodków, związek zaś pomiędzy przodkami i potomkami ujawnia się przez przyjście dziecka na świat w pewnej miej-

Zatem istota totemizmu, o ile mamy z nim do czynienia w obrębie plemienia Aruntów, przedstawia się w sposób następujący: W pewnej okolicy, w dalekiej przeszłości, przebywała grupa przodków, posiadająca pewną wyjątkową władzę nad pewnym gatunkiem zwierzyny. Dzięki temu zwierz był w obfitości i gromada miała zapewnione pożywienie. Władza ta przechodzi na plemieńców, którzy urodzili się na tem terytoryum. W ten sposób totem w przeszłości swojej był sojusznikiem czarodziejów, trzymających się pospołu i posiadających władzę nad tą lub inną sferą sił przyrody, ale niezwiązanych zakazem zewnętrznożeństwa — domniemalnie, ani zmuszonych do niespożywania mięsa odpowiedniego zwierzęcia. Owszem, zasadą tej całości było jedzenie pewnego pokarmu. W teraźniejszości jest on tem samem, tylko rozproszonem w przestrzeni. Zasadnicza różnica takiego totemizmu od amerykańskiego polega na „czarodziejskiem“ powiązaniu poprzednich pokoleń z następnemi. Zakazy małżeńskie i spożywcze są względnie rysami drugorzędnymi.

A teraz nasuwa się dalsze pytanie: o ile stosunki spostrzeżone u Australczyków, żyjących w środkowych dzielnicach lądu kopalnego, możemy rozszerzyć na inne części globu? Kiedyś, przed paru laty, w łamach *Prawdy* wygłosiliśmy pewną hipotezę co do początków totemizmu, było to wtedy przypuszczenie niedostatecznie jeszcze opracowane. Dzisiaj rozporządzamy daleko obfitszą argumentacyą. W owym przyczynku zerwaliśmy z dotychczasowemi teoryami o początku tego urządzenia i usiłowaliśmy wykazać, że ongi istniał zwyczaj masowego przebierania się za pewne zwierzę, dokonywany w celach praktycznych — liczniejszego połowu. Na to naprowadziły nas zwyczaje używania w pewnych przypadkach ubioru, naśladującego dane zwierzę, tańce przed polowaniem, noszenie odpowiedniej czupryny, udzielanie totemowcom imion zwierzęcych. Założenie nasze poparliśmy w dalszym ciągu przykładami, zaczerpniętymi ze sposobów polowania (przebieranie się za bizony, antylopy, foki, nawet kaczki dzikie itp.). Człowiek, nie posiadając oręża, tem bardziej musiał używać takich forteli. W ten sposób powstały owe grupy niedźwiedziowców, jeleniowców i in. Fakty, zgromadzone przez Spencera i Gillena, bynajmniej nie stają w poprzek tamtemu przypuszczeniu, ale owszem wybornie z niem się godzą i nawet je popierają. Owa władza czarodziejska w przeszłości polegała na fortelach, zapewniających nadmiar zwierzyny. Prócz przebierania się mogły wchodzić tam jeszcze inne środki, których zresztą i my nie wykluczyliśmy ze swojej hipotezy.

Na tem zakończymy wzmiankę swoją o ciekawem dziele badaczów australskich. Kończąc artykuł, musimy jeszcze wspomnieć o innej pracy, która ukazała się świeżo a traktuje o tubylcach innej dzielnicy lądu nowo-holenderskiego. Autorem jej jest Roth. I ona stanowi przyczynek bardzo doniosły, chociaż nie posiada tego znaczenia, co powyżej wymieniona.

L. K.

Jan Bloch: *Wnioski ogólne z dzieła „Przyszła wojna.“* Warszawa, 1899, str. XXXI i 365.

II.

Licznie i starannie dobrane są głosy, które potępiają wojnę. Oświadcza się przeciwko niej z osobliwą zaciętością przyrodoznawstwo. Natura — powiada w jego imieniu autor — normuje pewnemi granicami rozmnażanie się rasy i zapewnia jej doskonalenie się przez usuwanie ludzi chorych i słabych. Wojna odwraca prostą tę kolej rzeczy przez to, że

odbiera krajowi wielką ilość sił młodych i zdrowych. W przyszłych wojnach, bezprzykładnych ze względu na ilość wyprowadzonych do boju żołnierzy i ogrom ofiar, znaczenie to posunęłoby się do granic, za któremi rozpoczyna się już prawdziwe wyradzanie się plemienia. Cała wyborowa młodzież, zaledwie dorosła, idzie do boju, pozostają jedynie wybrakowani: suchotnicy, kalcki, syfilitycy, skrofuliczni... Zgubny system militaryzmu — pisze Haeckel w swej „Natürliche Schöpfungs-Geschichte" — zapanował wszechwładnie od czasu, gdy nastąpiło nienaturalne połączenie systemu powszechnej służby wojskowej z zasadą armij stałych. Aby mieć wielkie armie stałe, pozbawiamy naród corocznie najsilniejszych i najzdrowszych ludzi; wszyscy zaś słabi i niezdatni pozostają w domu i zakładają rodziny. Na mocy prawa dziedziczności słabość fizyczna i moralna nietylko przechodzi na następne pokolenia, lecz i rozwijać się w nich musi. Nic zatem dziwnego, że wśród narodów cywilizowanych wzrasta stopniowo słabość organizmu i charakteru. I pytamy, na co, komu składamy w ofierze najlepsze siły, kwiat narodów? — Składamy je w większej części takim celom, które nie mają nic wspólnego z dobrem ludzkości i powinny być obce wszystkim narodom cywilizowanym...

Takie zagajenie sprawy nie trafia przedewszystkiem do serca spadkobierców wielkich imion i fortun, niepodoba się dziedzicom spadkobierców historycznego dorobku przeszłości. I słusznie. Oni przecież pomimo tylu klęsk i przygód wojennych, żyją jeszcze, niektórzy z nich mają się dobrze, trzymają się prosto, wyglądają czerstwo, zdrowo, nieraz wspaniale. Wąs, oko, podbródek, z karety czy bez karety w odwodzie, zaświadczyć mogą dowodnie, że o skrofułach lub anemii nie może tu nawet być mowy; zapewne, wypełzło trochę sierści, wykruszyły się zęby — ale reszta w najzupełniejszym porządku. A przytem pewne stwierdzić się dające zgrubienie czaszki alboż nie dość sowicie się opłaca wyrobionem wśród walk i niebezpieczeństw poczuciem obowiązku i honoru, gotowością do ofiar, zamiłowaniem ideałów narodowych, tradycyjnem pielęgnowaniem cnót rycerskich, uprawą obyczajowości i ogłady, dbałością o przechowanie w rodzie praktyk pobożności, energii, męztwa.... Wszakże taki Byron, on nawet, miał się gdzieś wyrazić, że nie kto inny, tylko wojna broni świat od pleśni i zgnilizny...

Nie zupełnie zgadzają się z Byronem zwolennicy przeobrażeń, które za dni naszych przekuły szable na pługi, a przyłbice — na miary i wagi. Rozmaicie — powiadają — bywało dawniej, dziś — charakter wojny uległ zmianie ogromnej; stare o niej pojęcia, jako o szkole rozwijającej w narodach przymioty bohaterskie, nie są już obecnie zgodne z rzeczywistością. Życie codzienne, z kordem u boku, ze strzelbą nad łóżkiem, z moździerzem pod bramą domu, zdolnem było, bez wątpienia, kształcić odwagę osobistą w wiekach średnich, kiedy każdy o każdej porze zbrojnie stawiać musiał czoło napaści i najazdowi: w części późniejsze nawet zapasy zbrojne mogły mieć takie znaczenie pedagogiczne — dopoki w bitwach rolę jakąś odgrywał miecz i coś ważyła osobista sprawność żołnierza. Słynne pojedynki, śmiałe ataki, szturmowanie do wysokich murów po drabinach, uderzenia na bagnety, zwłaszcza w chwili, kiedy zwycięzca wdzierał się do twierdzy razem z przeciwnikiem — uwydatniały i podnosiły dzielność osobistą. Obecnie, wskutek olbrzymiego rozwoju techniki, wojna wymaga zupełnie innych wytężeń. W bitwach przyszłości decydować będzie: siła mechanizmów, wytrzymałość mas. Przeciwnicy niszczą się wzajemnie z wielkich odległości, nie widząc nawet jeden drugiego; jednostce nie sposób prawie się odznaczyć. Zaparcie się indywidualne nie przestanie zapewne być bohaterstwem — ale pozostać ono musi bezimiennem, ukrytem i wyrównanem do poziomu wspólnoty gromadzkiej... Bardziej niż kiedykolwiek trafnem okaże się określenie wojska, jako „mięsa dla armat..." A zresztą obrońcy wojny nie określają dokładnie, w jaki to mianowicie sposób walka zbrojna chroniła lub chronić ma narody od pleśni i zgnilizny. Tymczasem w oczach naszych żyją i dochodzą do chwały społeczeństwa, które oddawna nie prowadziły wojen i o ile możności wystrzegają się większych wydatków na armie — jak Szwajcarya, Stany Zjednoczone, Belgia, Szwecya, Norwegia; nie sposób przecież powiedzieć, aby kraje te grzęzły w pleśni i zgniliznie, aby w postępie wlokły się na tyle za państwami takiemi, jak Prusy np., które oddawna podporządkowały sprawom wojskowości i rozum i sumienie i prawo i sprawiedliwość. Społeczeństwo angielskie równie mało przeniknięte jest duchem militaryzmu, jak i północno-amerykańskie; a wszakże przyznać chyba trzeba, że Anglicy i Amerykanie bynajmniej nie ustępują innym narodom pod względem odwagi i energii... Przytem, jest odwaga i odwaga...: Co warta owa dawna odwaga Hiszpanów, z czasów np. Korteza i Pizarra, kiedy się za czerwonoskórymi uganiano, jak za zwierzyną na łowach...

Zgódźcie się jednak — przerywają w tem miejscu obrońcy tradycyjności — że zalety i przymioty, których resztkami żyje obecnie to wszystko, co jeszcze ma jakiekolwiek wyobrażenie o godności słowa i postępowania, o bezinteresownej obronie słabszego przed gwałtem, o wiernem staniu przy chorągwi idealnie pojętego przedsięwzięcia lub niesłusznie pokrzywdzonej sprawy — zgódźcie się, że przymioty i zalety takie, z krwią przeszłości na potomność przelane, całkiem co innego wydają w życiu, całkiem w inną stronę kierują rydwan przeznaczeń ludzkich, niżli pewne osobliwości cywilizacyi nowej, handlarsko-przemysłowej, której tryumf zdajecie się głosić na progach waszego pokoju wiecznego. Z dwojga złego, wybór na gorsze jest możliwy, ale nie pożądany. Fakt za fakt: wstrętnemi są dziś w oczach naszych wyprawy Kortezów i Pizarów po żywy ludzki towar za Atlantyk; ale bezczelnością byłoby stawiać do wspólnej z niemi miary pokątną, cichą, dziś tak rozpowszechnioną wymianę dawnego grubiańskiego nadużycia na znacznie miększą, poufniejszą, ponętniejszą podaż — również za Atlantyk — pewnych „przedmiotów" rozpusty i zbydlęcenia... Bezmyślną, bezduszną bywała nieraz ta sposoczona glina, z której następnie, koleją wieków, ludzkość lepiła sobie posągi Leonidasów i Waszyngtonów; ale jakie odsłonią się kolumny, jakie powstaną Partenony ze świeżego owego piasku, nad którego przeznaczeniem przyszłem, zwilżonem już na początku drogi kroplami hańby i potu, zasiądzie do rady i rachuby wyzysk, przebiegłość, przeniewierstwo, podstęp, szachrajstwo kantorkowe? Co się z tego sklei dla potomności?

Skleiło się coś niecoś już i dzisiaj — odpierają na to wyznawcy cywilizacyi mierzonej raczej na łokcie i kwarty, niżli na włócznie. Alboż czyny i poświęcenie tylu pionerów wiedzy, więdnących marnie nad rozwiązaniem zagadek bytu, tylu nieustraszonych żeglarzy rozszerzających widnokręgi ziemi, tylu na śmierć i męki skazanych misyonarzy, szerzących światło wśród pustyń żywota, ustępują w czemkolwiek czynom i poświęceniom Rolandów, Duguesclinów, Wołodyjowskich, Podbipiętów? Alboż siostry miłosierdzia, roztaczające po szpitalach swą opiekę nad dotkniętymi chorobami zakaźnemi, lekarze ginący w walce z tyfusem, dyfterytem, cholerą, dżumą, bakałarze spędzający suche dnie w modłach do Boga świateł o wydarcie ubogiej dziatwy z otchłani ciemności i nicości, strażacy rzucają się w płomienie dla ocalenia cudzego życia i dobra — alboż oni mają cokolwiek do pozazdroszczenia Temistoklesom, Joannom d'Arc i Pallafoxom..."

Urwijmy tu kontrowersyę. Doprowadzona do punktu, gdzie słusznie i trafnie może być mowa o siostrach miłosierdzia, bakałarzach, misyonarzach, lekarzach, strażakach, neutralizuje się ona całkowicie i traci wszelkie ślady miedz lub ścieżek, przy których przeszłość rozchodzi się z przyszłością lub konserwatyzm jakikolwiek z postępowością jakąkolwiek. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przedmiot, nietylko sporu, lecz nawet pogawędki zawsze się wyczerpuje tam, gdzie myśl, czy też właściwie słowo dociera do istoty, do źródła zjawiska. Tak jest, wojna — to fenomen, to fakt, to żywioł — żywioł tej samej natury, co ogień, powódź, powietrze, pomor na bydło, nieurodzaj, grad, burza... Jan Bloch najwyraźniej i stanowczo, wielokrotnie i z naciskiem to zaznacza. W dwóch, trzech miejscach spostrzegać się nawet daje jakby wahanie się autora nad tem, czy warto się zastanawiać nad możnością i sposobami pochwycenia burzy na uzdę, zaklęcia gromów, aby piorunami nie raziły, zatamowania rzeki, aby nie wzbierała. Jesteśmy niby w kole zaczarowanem — powtarza Bloch, wszyscy wołamy o pokój i wszyscy do wojny dążymy. Widmo wielkiego zatargu europejskiego dawno już unosi się nad naszemi głowami, niby owe komety, czy też fantastyczne obrazy walczących w obłokach, które niegdyś uważano za wróżby starć krwawych. Bywały za naszych czasów chwile, kiedy ludzie jakby usiłowali ująć w swe ręce owe groźne widmo — widmo jednak wymykało się z rąk. Nikt nie decyduje się przyjąć na siebie odpowiedzialności za wywołanie masowych mordów; pomimo to wszyscy z całą pewnością wyczekują wojny, jak gdyby ona była czemś takiem, czego nie można uniknąć (str. 300). Sam autor błąka się nieraz po omacku, chcąc wyjść z zaczarowanego koła. Naraża go na to podwójność metody, użytej przy badaniu: empiryczno - statystycznej, garściami całemi chwytającej za najbliższe powody i natychmiastowe następstwa zajść przewidywanych, oraz naukowo - filozoficznej, stawającej na marginesach twierdzeń doraźnie zdobytych wielkie znaki zapytania co do zasadniczych przyczyn i skutków wojny. W przedmowie autor bardzo dokładnie wytyka granicę oddzielającą dwa te odrębne światy, „działanie praw stałych, naturalnych" — i zjawiskowe sczepienie się zdarzeń luźnych, przypadkowych, drugorzędnych. W toku atoli opowiadania jedna dziedzina miesza się z drugą i przeszkadzając sobie nawzajem zaciemniają się wspólnie. W wywodach mających na widoku organizacyę międzynarodowego trybunału rozjemczego empiryczny „powód" tak dalece wziął górę nad naukową „przyczyną," że wypadło przestoiczyć samą definicyę wojny, raz już pozyskaną i jakby się zdawało na seryo, na stałe. Wojna jest to teraz niemal reguły, niemal zwyczaj, niemal nałóg. Wojowano lat tyle (niestety, od początku świata!), że nabrano niejako wprawy, ochoty... Ręka jakoś swierzbi, nic więcej. To i odswierzbić ją można. Jakież są obecnie pobudki do wojny? — Nie brak ich: tam Alzacya i Lotaryngia, owdzie kwestya wschodnia, gdzieindziej wschodnia część Galicyi... Wszelakoż, „wojna, która w ciągu 20 lat nie wybuchła w skutek owych *wielkich kwestyj*, z każdym rokiem staje się coraz mniej prawdopodobną... Przypuśćmy, że przejdzie jeszcze 50 lat bez wojny, wszczętej w celu rozstrzygnięcia wielkich kwestyj odziedziczonych po przeszłości; większość ludzi myślących zgodzi się chyba, że wobec takiego przypusz-

czenia wojna z powodu tych kwestyj stałaby się istotnie niemożliwą" (str. 222). Innemi słowy, rany się zasklepią, urazy się zatrą, wspomnienia pokryją się kurzem archiwalnym... A nie ma obawy, „ażeby ktokolwiek się odważył skorzystać z *nowych, przypadkowych, drugorzędnych* sporów w celu wywołania wielkiej wojny..." Nie ma obawy?! — Dlaczego nie ma obawy?...

W kotle przyczyn dziejowych wrą i parują odwieczne żywioły wojny. kilka chronologicznie ostatnich w nim łożysk i kraterów spowodowanych doraźnym wybuchem zatargów zbrojnych pod Wogezami lub nad Dunajem, zarosły, zamazały się, zalutowały z czasem. Natomiast tu i owdzie formują sie nowe bąble i słychać dobywający się z głębi głuchy szmer czegoś podobnego do groźby, czy też do przestrogi. Ktoś dostrzega w kotle jakby zarodek do otworku, jakby słabą ściankę... dla powodu „przypadkowego, drugorzędnego." Skądże tu, na podstawie jakiej statyki i jakiej dynamiki zaczerpniętą została pewność, że „niema obawy"? Pewność tę — odpiera autor — daje trybunał międzynarodowy, uzbrojony wystarczającą ilością pełnomocnictw i przywilejów do łatania i zagważdżania wszelkich tego rodzaju dziurek, luk i skłonności do pęknięcia. „Dopóki nie istnieje legalny, przez wszystkich zatwierdzony sposób pokojowego rozstrzygania sporów, dopóty istnieje obawa, że spór *byle jaki* może wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności sprowadzić katastrofę. Prawdopodobnie nigdy nie nastąpi tak radykalna poprawa stosunków, aby łagodność obyczajów i rozsądek stanowić mogły jedyny hamulec przeciwko nadużyciom, gwałtom i wynikającym z nich zatargom; dla unormowania tych stosunków niezbędną jest pomoc prawna i uznany przez wszystkich autorytet sądu" (str. 321). Autorytet ten opiera też autor na prerogatywach, wobec których maleją prerogatywy wszechwładztwa narodowego i państwowego. Wyroki najjaśniejszego trybunału międzynarodowego są bez apelacyi. Nie istnieje dla nich ani kontrola, ani dyskusya publiczna. Głos sumienia narodowego — prasa, milczeć musi na każde najlżejsze skinienie areopagu, zapobiegać on może i występować przeciwko wszelkiemu objawowi waśni religijnych, narodowych, rasowych, społecznych, politycznych. Zachodzą nawet niejakie pozory podstaw dla domysłu, że trybunał upoważnionym będzie pozostawić bez skutku takie nieporozumienia, jak kiedy „*jednostki* jednego narodu skrzywdzone zostaną przez *jednostki* należące do narodu *drugiego*" (str. 315) — gdyż za drobna to rzecz jak na *casus belli*...

Konkluzya dziwna, nieprzewidziana i do założeń książki bynajmniej nieprzystająca. Matematycznie dowieść można, że trybunał, usuwający lub szpuntujący tym sposobem powody do wojny, spotęguje jej przyczyny do rozmiarów prawdziwie zastraszającego rozsadzenia kotła. Nieroztropna byłaby to zabawka. Zastanówmy się nad nią krytycznie.

K. Włostowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Giovanni Verga.

Jeżeli pani Serao maluje nędzę miast Sycylii, to Verga przedstawia nędzę jej wsi — zawsze nędzę. Tylko Verga nie jest uczniem Zoli. Jest to talent zupełnie samodzielny. Suchy, zwięzły, zimny w bezustannem szyderstwie, opisuje swych chłopów bez namiętności francuskiego naturalisty, lecz zupełnie bezstronnie. Raczej przypomina on nam Merimé, a suchością stylu — Stendhala, pod którego wpływem niewątpliwie znajdował się w pierwszych swych powieściach, jak „Tygrys królewski" i „Eros," malujących wyrafinowanie „świata." Autor sam posiada wszystkie nawyknienia umysłowe i uczuciowe „towarzystwa" i dlatego wydaje się tem dziwniejszem, iż umiał oderwać się od własnej swej „natury" i wstąpić umysłowo w zupełnie inną sferę życia — chłopów. A przeniknął w nie tak głęboko, iż dał prawdziwe arcydzieło: „Rodzinę Malavogliów."

Rodzina ta składa się z dziada Ntoniego, z dwu wnuków — jeden ma toż samo imię, drugi nazywa się Aleksy — i dwóch wnuczek, Meny i Lii. Są to dzieci jego syna, który zginął w morzu. Matka ich, Maruzza, żyje jeszcze, gdy powieść się rozpoczyna. Wszyscy są rybakami i utrzymują się dość porządnie ze swej pracy, w wioszczynie Aci-Trezza, położonej na brzegu morza. Dobrobyt rodziny zaczyna jednak powoli się rozchwiewać: naprzód starszy Ntoni, główna jej podpora, zabrany zostaje do wojska, gdzie z pracowitego i pobożnego rybaka powoli staje się leniwym i rozpustnym łobuzem. Wkrótce potem rodzinie zadany zostaje drugi cios: o starszą wnuczkę Menę ubiega się syn najzamożniejszego z sąsiadów, patrona Cipolli, który jednak wymaga posagu — kilkuset lirów. Dla zdobycia tej sumki stary Ntoni puszcza się na spekulacyę. Bierze od lichwiarza wioskowego, Crocifissa, na kredyt za pięćset franków chmielu, który należy przewieźć morzem do oddalonego miasta, aby tam ze sprzedaży otrzymać znaczny zysk. Otóż morze jest zdradzieckie, pochłania przewoźników, chmiel i barkę, której szczątki po kilku dniach zostają wyrzucone na brzeg.

Przypadek ten rujnuje w zupełności cały byt rodziny. Mena niema posagu i musi się wyrzec narzeczonego. Następnie należy spłacić dług zaciągnięty u Crocifissa. Ten stary lichwiarz, jakkolwiek spokrewniony z Ntonim, nie zwlekając długo, zabiera piękny jego dom i cała rodzina znajduje się bez dachu. Tymczasem starszy wnuk Ntoni, wraca ze służby wojskowej, ale zupełnie inny, niż odjechał. Stał się próżniakiem, woli żyć na utrzymaniu karczmarki wioskowej, niż pracować Pracuje więc tylko stary dziad i młodszy wnuk, Aleksy. Wynajęto chałupę, połów ryb bywa niezły, jakoś się żyje. Ale, niestety, stary Ntoni skaleczony zostaje podczas burzy, trzeba go leczyć, płacić lekarza i lekarstwa, a głównie — na zawsze wyrzec się jego usług. Jednocześnie cholera, która często zagląda do tych stron, porywa gospodynię domu; Maruzzę. Aleksy idzie za parobka do jednego z sąsiadów, Mena szyje — pomimo to głód często zagląda do chałupy. Tymczasem starszy wnuk, Ntoni, pijak i próżniak, chcąc szybko się zbogacić, staje się kontrabandzistą i pewnej nocy ścigany przez wojsko, zadaje cios nożem brygadierowi, don Michelowi, co było mimowolną zresztą zemstą za uwiedzenie młodszej jego siostry, Lii. Zabójca, schwytany, oddany zostaje pod sąd, który posyła go na galery. Stary dziad nie może przenieść wszystkich tych uderzeń losu i wkrótce potem umiera w szpitalu. Lia ucieka do sąsiedniego miasta, gdzie staje się prostytutką. Mena idzie na posługi. Taki jest zwykle los biedaków — zdaje się wnioskować autor, który pod powierzchnią zimnej obojętności ukrywa wiele sympatyj dla tych prostaków.

Niema w tej powieści ani cienia sentymentalnej jakiejś bukoliki, lecz surowa prawda życiowa i to właściwie jest godnem podziwu, iż umiał ją odtworzyć w całej swej prostocie subtelny i wyrafinowany malarz eleganckiej wielkoświatowych. Wszystkie dramaty tego życia rybaków są proste: największą, prawie jedyną ich troską jest byt materyalny, intrygi są niezłożone i przezroczyste, miłość sprowadza się do zwykłego popędu płciowego — tak młody Ntoni kocha swą karczmarkę — albo też do spokojnego upodobania, które gotowe jest do ofiary i wyrzeczenia się — w stosunku Meny i jej narzeczonego.

I tę prostotę wytrzymuje ten sam pisarz, który w „Mężu Heleny" rozsnuwa najbardziej powikłane i w istocie daleko mniej zajmujące intrygi miłosne. Mniej zajmujące, gdyż Verga swych biedaków przedstawia z sympatyą i zamiłowaniem. Nie jest to zamiłowanie pani Serao, która w „Kraju zaczarowanym" pisze wprost akt oskarżenia przeciw rządowi tolerującemu i utrzymującemu domy gry, źródło zepsucia moralnego, nędzy materyalnej, skąd łatwy wniosek do wyprowadzenia, co czynić należy.

Sympatya Vergi do biedaków nosi charakter bardziej filozoficzny i bynajmniej nie ma na widoku zadań praktycznych. Autor zadawala się opisem nędzy istniejącej, ale bynajmniej nie wskazuje środków wyjścia z niej. Spogląda nawet na swój przedmiot w sposób nader teoretyczny, zapowiadając w jednej z przedmów, któremi lubi zaopatrywać swe powieści, iż „Rodzina Malavogliów" jest tylko pierwszą z całej seryi, mającej nosić wspólny tytuł „Zwyciężonych," gdzie opisywać będzie warstwy zanikające z różnych klas społecznych. Autor chce przedstawić w sposób przyrodniczy, jeżeli tak rzec można, proces eliminacyj nieszczęsnych, nieprzystosowanych, którzy muszą zginąć. Jest pod tym względem darwinistą. Nie będzie to, jak u Zoli, historya naturalna jednej rodziny w jej rozwoju, lecz obraz kilku niezależnych od siebie rodzin, związanych tylko wspólną myślą filozoficzną. W „Malavogliach" mamy stan potrzeb najpierwotniejszy i autor stawia sobie za zadanie zbadać, w jaki sposób zradzają się i rozwijają w tych warunkach niedogodnych pierwsze troski o dobrobyt i jakie wstrząśnienia powinno wprowadzić w rodzinę, dotychczas względnie szczęśliwą, niejasne dążenie do rzeczy nieznanych, żądza zadowoleń znaczniejszych i większego szczęścia.

Tu mieliśmy do czynienia z potrzebami prostemi, charakteru czysto materyalnego. Ale w miarę tego, jak się wznosimy po szczeblach drabiny społecznej, troska o chleb codzienny zanika, potrzeby się wydelikacają, a intrygi komplikują. Typy stają się mniej oryginalne, ale zarazem bardziej interesujące przez wpływ wychowania i sztucznej, cieplarnianej atmosfery, którą oddychają. Pod wpływem bogactwa rozwija się próżność arystokratyczna, ambicye i ambicyjki różnego rodzaju. Tą drogą rozwija się wreszcie człowiek zbytku, łączący w sobie wszystkie te wyrafinowane potrzeby, ambicye i żądze, wszystkie te próżności, które rozumie i dla których cierpi, gdyż ma je w krwi swej i jest przez nie duszony.

Taki jest plan autora. Dotychczas jednak wydał dopiero pierwszą część obiecanej trylogii, w której zajmuje się chłopami, również jak i w innym zbiorku, zatytułowanym: „Życie pól." Oprócz cech zaznaczonych poduiść należy i tę, iż Verga umie spoglądać i widzieć naturę, która jest właściwą bohaterką jego dzieł. To ona prowadzi zwykle dramat i rozwiązuje intrygi. Człowiek prosty jest zupełnie w swych uczuciach, myślach i postępkach, w całym swym losie od niej zależny. To też rybacy i chłopi Vergi są fatalistami i stoikami — zupełnie jak sam autor. Nędza jest według niego dobrym nawozem, na którym rozwija się mnóstwo istot zbytecznych. „Od czasu do czasu tyfus, cholera, burze, czynią próżnie w tych mrowi-

kach. Później próżnie się zapełniają, brzeg się czerni ludźmi, jak dawniej, nie wiado- po co i na co."

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

EPOKA.

Ćmi mi oczy zadziwione
Świetny blask epoki naszej,
Gorączkowy pośpiech wieku
Niemal nerwy moje straszy.
  Pośród wszystkich dziedzin życia
  Nowe hasła brzmią rozgłośnie:
  Zastęp wiedzy pracowników
  Jak po deszczu grzyby—rośnie.
Śród milczących puszcz odwiecznych
Grzmi zwycięzki stuk topora;
I kominów las powstaje
Tam, gdzie nic nie było wczora.
  Słychać wszędy warkot maszyn;
  I rozwiane w dumne wstęgi
  Dymy fabryk się unoszą,
  Zaćmiewają widnokręgi.
Zapas bogactw pysznie wzrasta
Pod rąk znojnych wielką rzeszą;
I natury ślepe siły
W jarzmo ludzkich potrzeb spieszą.
  Niezliczoną moc ideek
  Światłe mózgi płodzą co dnia:
  I brak głupców doskonałych
  Mógłby zdziwić też przechodnia.
W milion piersi swe iskierki
Śle poezyi ogień święty,
Więc na każdym kroku spotkasz
Talenciki i talenty.
  Tylko brak tych wielkich ludzi,
  Co jak słońce ziemi świecą,
  I tych wielkich idej, które
  W bezmiar jako gwiazdy lecą.
I na świetnej kanwie czasu
Rwie się ciągle złota przędza,
Bo swój haft ponury, ciemny,
Tka, jak dawniej, stara nędza...

Leo Belmont.

W DALI.

Moskwa. Projekt ustawy banku centralnego dla instytucyj drobnego kredytu, powierzony na wiosnę r. b. do opracowania osobnej komisyi, wyznaczonej przez ministra skarbu, jest już obecnie gotowy. Bank centralny instytucyj kooperacyjnych powstanie w Moskwie celem rozpowszechnienia się towarzystw pożyczkowo-wkładowych, kredytowych, arteli rolniczych i przemysłowych, towarzystw spożywczych itd. Działalność tej instytucyi może ogarnąć i związki takich towarzystw. Prócz tego z pożyczek bankowych mogą korzystać gromady wiejskie. Bank rozpoczyna swoje czynności, gdy zbierze się 25 uczestników, którzy wniosą cały kapitał zakładowy, oraz po zatwierdzeniu ustawy. Zarząd główny ogniskuje się w ministeryum skarbu, na którego żądanie bank obowiązany jest dostarczyć wszystkich danych, dotyczących jego działalności. Kapitał zakładowy powstanie z udziałów założycieli, zapomogi rządowej, oraz osób prywatnych i instytucyj publicznych. Udziały członków mogą być spłacane z zysków banku, z tym wszakże warunkiem, aby suma kapitału zakładowego nie była zmniejszoną. Udziały są po 500 rb. Mogą je nabywać nietylko instytucye publiczne, ale i osoby prywatne.

Kijów. Na posiedzeniu sekcyi zabytków archeologicznych, uczestnik zjazdu archeologicznego prof. uniwersytetu z Warszawy, p. Cwietajew, odczytał referat „O archiwach warszawskich." Treść zasadnicza tej pracy (według sprawozdania *Kijewlanina*) jest następująca: „Referent zbadał stan wszystkich zbiorów archiwalnych warszawskich. Wynikiem tych badań były niezbyt pocieszające wywody. Wiele archiwów warszawskich odznacza się nadzwyczajnem bogactwem zarówno ze względu na ilość zawartych w nich dokumentów, jak odległe i ciekawe epoki dziejowe, z których pochodzą. Do najbogatszych należą: archiwum izby sądowej, w którem jeden z dwóch oddziałów zawiera 87,401 dokumentów, w tej liczbie dokumenty z XIII i XIV stulecia (najstarszy sięga 1215 roku); archiwum sądu okręgowego, liczące przeszło 1,700,000 numerów; archiwum izby skarbowej, w którem dokumenty pochodzą, ze schyłku XV stulecia. Wszystkie te archiwa ze względu na swe bogactwo, dają obszerne pole do badań naukowo-historycznych. Na nieszczęście archiwa warszawskie są w stanie zupełnego opuszczenia, co nie pozwala na bezpośrednie z nich korzystanie. W ostatniej atoli dobie, dzięki udziałowi w tej sprawie Głównego Naczelnika kraju, J. O. księcia Imeretyńskiego, sprawa uporządkowania archiwów warszawskich i badanie ich w interesie nauki posunie się może naprzód." — W Kijowie powstało „Towarzystwo popierania wykształcenia rolniczego kobiet." Ustawę już zatwierdzono. Celem nowego towarzystwa jest popieranie wszelkimi sposobami rozpowszechnienia wiadomości rolniczych śród kobiet. Towarzystwo ma prawo otwierać specyalne szkoły rolnicze, urządzać odczyty i pogawędki, zjazdy i wystawy. Z czasem zamierzono utworzyć pośrednictwo wynajdowania kobietom miejsc i zajęć w zakresie gospodarstwa wiejskiego. Członkowie rzeczywiści opłacają 5 rb. składki rocznej lub jednorazowo 100 rubli. — Jak donosi *Kij. Słowo*, policmajster miasta Kijowa polecił policyantom posterunkowym, aby jak można najuprzejmiej i najgrzeczniej traktowali publiczność; wszelkich zaś skarg i zażaleń wysłuchiwali uważnie i cierpliwie i wszystkim, w razie potrzeby, przychodzili z pomocą. Osób podnieconych nie należy rozdrażniać odmową, lecz starać się uspokoić, w razie zaś niemożliwości przyjścia z pomocą, przyrzec, że sprawa będzie załatwiona, zapisać nazwisko i adres i najpóźniej dnia następnego, za pośrednictwem cyrkułu, dać znać o rezultacie skargi. Przytem policmajster uprzedza, że skargi publiczności na niegrzeczność i brutalność policyi, po sprawdzeniu będą podawane do wiadomości gubernatora, jeśli dotyczą wyższych rang, zwykli zaś policyanci będą usuwani ze służby.

Wilno. Wystawa rolnicza w Wilnie zapowiada się bardzo dobrze. Deklaracye napływają obficie. Wileński oddział rosyjskiego Towarzystwa ogrodniczego wystawia całą kolekcyę owoców i warzyw. Podczas wystawy odbędzie się ogólne posiedzenie niedawno utworzonego Towarzystwa rolniczego pod przewodnictwem gubernialnego marszałka szlachty. Nazajutrz po zamknięciu wystawy odbędzie się licytacya koni w stadninie Władysława hr. Tyszkiewicza.

Lublin. Pisma codzienne podały następującą bardzo ważną informacyę: Podobno ministeryum kolejowe w Wiedniu wciąż nieprzychylnie się zapatruje na sprawę połączenia kolei państwowych Galicyi z nową koleją Lubelsko-Tomaszowską, której budowę podejmuje w roku przyszłym konsorcyusz ordynat hr. Zamoyski. Początkowo, gdy linia rzeczona po stronie Królestwa Polskiego była tylko w projekcie, a władze ministeryalne w Petersburgu długi czas nie decydowały się na jej budowę, zarząd austryackich kolei państwowych czynił starania o połączenie bezpośrednie Lwowa z Warszawą przez Lublin i sam zapoczątkował ową linię magistralną budową odnogi lwowsko-bełzeckiej, wysunąwszy ją o parę kilometrów od granicy pod Tomaszowem. Obecnie zaś z uwagi na możliwość zmniejszenia się dochodów kolei galicyjskich, gdy towary, przeznaczone do portów bałtyckich, a zwłaszcza ładunki z Bukowiny i Rumunii, zamiast przechodzić przez całą długość Galicyi do Granicy lub kolei pruskich w Mysłowicach, już od Lwowa skręcać będą na północ i kierować się tranzyto przez Królestwo Polskie *via* Lublin-Warszawa, ministeryum kolejowe w Wiedniu jest niechętne projektowi połączenia dwóch kolei w Bełżcu lub Tomaszowie i dotychczas nie daje żadnej stanowczej odpowiedzi. Między Tomaszowem a Bełżcem mają być ułożone dwa tory, szeroki i wązki normalny, tak aby w Bełżcu lub Tomaszowie odbywało się przeładowywanie towarów.

KRONIKA.

Wypadek pod Płockiem. Pierwsze doniesienia kilku dzienników o wypadku z załogą łodzi warszawskiej na Wiśle, przyczem jeden z jej członków utonął, rzuciły niekorzystne światło na wioślarzów płockich, którzy wyjechali na powitanie gości i jakoby zlękli się wzburzonej rzeki. Według wyjaśnienia *Ech płock. i łomż.*, łódź płocka robiła możliwe wysiłki, ażeby pospieszyć z pomocą tonącym, ale zarówno odległość miejsca, jak silne fale nie pozwoliły jej przybyć w porę. Nie zgrzeszyła więc ona ani trwogą, ani obojętnością, ale uległa niepokonanej mocy warunków, śród których się znalazła wobec katastrofy.

Wiadomości społeczne. Na pomnik Mickiewicza we Lwowie złożono dotąd 16,000 złr.

Szkoły. Ministeryum oświaty przekształci 3-klasową szkołę miejską na 6-klasową. Dodatkową sumę na jej utrzymanie 2,600 rb. rocznie wypłacać będzie kasa miejska.

— Uniwersytetowi moskiewskiemu polecono opracować projekt zajęć praktycznych dla studentów na wydziałach prawnych. Dotąd zajęcia takie nie były urządzane, z powodu wielkiej liczby studentów i braku profesorów. Uniwersytet moskiewski zamierza studentów rozdzielić na grupy po 50—60 osób, przyczem każda grupa będzie miała swego kierownika z pośród profesorów lub docentów. Zajęcia praktyczne urządzane będą na wszystkich kursach. Na I-ym wyznaczono 3 godziny tygodniowo, na II-im — 2 i pół, na III-im i IV-ym po 2 godziny tygodniowo.

— Trzynaście szkół prywatnych o różnym zakresie otwarto w bieżącym roku szkolnym w gub. Kaliskiej. W tej liczbie jedną 4-klasową męską w Kaliszu z kursem progimnazyalnym.

— Ministeryum skarbu, w celu ulepszenia sprawy wykształcenia handlowego, ustanowiło specyalną komisyę egzaminacyjną, przed którą będą składały egzaminy osoby, pragnące otrzymać prawo wykładania buchhalteryi oraz innych przedmiotów specyalnych w szkołach handlowych ministeryum skarbu. Egzaminy będą się odbywały w departamencie handlu i przemysłu, rozpoczną się zaś w połowie [illegible]

Zdrowie publiczne. Warszawskie Towarzystwo hygieniczne rozesłało do obywateli ziemskich w Królestwie Polskiem kwestyonaryusz w sprawie pomocy lekarskiej dla służby i robotników wiej-[illegible]

Koleje i komunikacye. Akcyonaryusze kolei Dąbrowskiej z dochodu w r. 1898 przeznaczyli 39,486 rb. 77 kop. na rzecz kasy emerytalnej pracowni-[illegible]

— Ministeryum komunikacyj ogłosiło następujące wyjaśnienie w sprawie zwrotu pasażerom pieniędzy za nieprzejechaną przestrzeń koleją z powodu choroby lub jakichkolwiek innych przyczyn. Jeśli pasażer jechał tylko koleją skarbową, pretensye jego rozpoznaje zarząd tej kolei; jeśli zaś jechał prywatną, skarbową i zagraniczną, to pretensye jego rozpoznaje pierwsza zaraz po drodze kolej skar-[illegible]

— Do ministeryum komunikacyj wniesiono projekt budowy nowej linii kolejowej, która prowadzić ma od stacyi Sędziszów kolei Dąbrowskiej do Opatowa przez Pniewo, Wiślicę, Nowe Miasto i Korczyn, z odnogą do Buska, Stopnicy i Solca.

— W departamencie kolejowym poruszono sprawę utworzenia na kolejach posady konduktorów-sanitaryuszów, bez których żaden pociąg osobowy nie będzie wysyłany.

— Zarządy kolei tutejszych otrzymały zawiadomienie o oddaniu do użytku publicznego w d. 15 b. m. nowej kolei lokalnej w Galicyi, prowadzącej od Sierszy na Trzebinię, Wadowice do Skowiec. Nowa linia Trzebinia-Skowce jest najkrótszem połączeniem kolejowem pomiędzy Górnym Szlaskiem i Królestwem Polskiem a stokami zachodnich Karpat, a więc znacznie skraca podróż pomiędzy Warsza-[illegible]

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu odbędzie się zjazd fabrykantów bawełny.

— W jesieni odbędzie się w Petersburgu zjazd przedstawicieli towarzystw wzajemnego ubezpieczenia.

— D. 27 września w Wilnie otwarta będzie wystawa koni, bydła i świń (wraz ze sprzedażą okazów).

— Minister rolnictwa i dóbr państwa zezwolił na zwołanie w styczniu 1900 r. przy moskiewskim instytucie rolniczym zjazdu działaczów na polu wykształcenia agronomicznego, z tem zastrzeżeniem, aby program składał się tylko ze spraw dotyczących bezpośrednio wykładów w istniejących już szkołach rolniczych.

— W Petersburgu ma być urządzona wystawa aeronautyczna.

— Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło na zwołanie w r. 1900 zjazdu przedstawicieli zakładów poprawczych dla nieletnich przestępców. Uczestnikom przedstawione będą następujące projekty: przyznanie zakładom poprawczym prawa zatrzymywania wychowańców do 21 roku życia, o ile nie nauczyli się dokładnie rzemiosła i nie poczynili dostatecznych postępów moralnych; zaprowadzenie egzaminów dla wchodzących do zakładu przestępców i urządzenie przytułku centralnego dla wychowańców wyjątkowo zepsutych, którzy dzisiaj są wolni z chwilą, gdy doszli do 18 roku życia.

Przemysł i handel. Ogłoszono nowe przepisy, dotyczące odpowiedzialności i kar za przemycanie wódek zagranicznych. Nowe przepisy są nierównie surowsze, niż poprzednie. Między innymi art. 5 opiewa: „Żydzi w guberniach Królestwa Polskiego, oskarżeni o kontrabandę lub udział w niej, podlegają wydaleniu z miejscowości pogranicznych."

— Jarmark na Chmiel w Warszawie rozpocznie się 25 września i trwać będzie pięć dni.

Zmarli. Konstanty Luboński, w Radomiu, prezes Towarzystwa wzajemnego kredytu.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Августа 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.